7 DNI

CENA 50 GR.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE







Wigilja na stanowisku

Dwieście pierwszy idzie o czasie, ale pan Dziugieł zdaje się przyjmować to obojętnie. Został maszynistą pierwszej klasy, otrzymał podwyżkę, ale dzisiejszy „turnus" uważa za osobistą szykanę naczelnika parowozowni „Warszawa-główna". Pamięta z jakim przekąsem zakomunikowano mu o awansie i jednocześnie doręczono tabelkę, na której wyczytał, że jedzie dziś 201-ym. Odjazd o 14.50, ale trzeba być przy parowozie przed pierwszą. A czy można zjeść wieczerzę wigilijną w południe?

Oto mija Rogów. Fatalny szlak, tyle tu było katastrof; o niektórych szeptali sobie starzy maszyniści, że nie były przypadkowe. Może zamach? Może sabotaż?

Zerknął na budynek stacyjny i machinalnie odpuścił spazm hamulca. W oknie pierwszego piętra zamigotała mu świeczkami choinka. Może to w oknach na Chmielnej? Może ta pani, to Helenka. Na liczniku znów 65, bo pusty pociąg łatwo się rozpędza. Ale te świeczki, te bańki barwne. Jeszcze raz mignęły w narożnym oknie stacyjnym. A jedna czerwona 00!

— Panie Dziugieł — brzmi ochrypły głos pomocnika — coś się pan zagapił? Nie widzisz, że linja zajęta i sygnał zamknięty? Ciąg pan za hamulec...



Zgrzyt!

Pociąg staje w chłodnej mglistej pustce. Dwie pary oczu wpatrują się w czerwone światełko...

Wigilja.

* * *

Połowę personelu zwolniono, a druga chwilami nic niema do roboty, a chwilami nie może nadążyć pracy. Wyciągają się długie, delikatne ręce kobiece, sięgają daleko, daleko. To w górę, to na prawo, to w lewo. Czasami zdaje się, że nie dosięgną. Czasem opadają bezradne!

— Siedem czterdzieści. 509-50?... Łączę. Siedem czterdzieści. 102-30?... Łączę. Siedem czterdzieści. Siódmy komisarjat?.... Zajęty.

Chwila przerwy i myśl zaprzęgła do liczb prostuje się. Tam, na Królewskiej jest na czwartym piętrze pokoik, bardzo mały. Przed dwiema godzinami, jeszcze za dnia, panna Jula, będąca tu nie panną, ale numerem „siedem czterdzieści" zostawiła tam matkę staruszkę przy choince Od trzech lat są same. Myślały, że i w wieczór wigilijny będą same. Ale nie! O drugiej przyszedł woźny ze stacji i przyniósł wezwanie na dyżur wieczorny. Właściwie wieczorny, ale do 1 w nocy. Panna Jula (740) musiała się o wpół do czwartej pożegnać z matką i biec na stację. A mamusia była dziś jakaś bardziej słaba. Były obawy, że powrócą dawne omdlenia, z przed roku... Prosiła, żeby jej zapalić choinkę i wcześniej wrócić. Wcześniej? Łatwo powiedzieć, a do 1-ej jeszcze 7 godzin.

Światełko. Uwaga!

— Siedem czterdzieści. Proszę pani DRUGI ODDZIAŁ STRAŻY!... Zajęte. — To do wypadku, proszę łączyć!

* * *

Zimno, ciemno i pusto. Takiemu latarnikowi to dobrze! O godzinę przed czasem zapalił latarnie i poszedł sobie na wilję, ale posterunkowy musi sterczeć. I nie wiadomo poco? Ruchu prawie niema, szynki zamknięte, sklepy prawie już wszystkie też! A tu zimno, wiatr, czasem jakby pył śnieżny dmuchnie w oczy. Od braku tchnie skostniałym, lodowatym zimnem.

Tam gdzieś w oknie wysokim na królewskiej widać płonącą choinkę. W domu u posterunkowego Nr. 2474 też jest choinka. Niewielka ale jest. Albo choćby w komisarjacie, też ustawili bardzo fajną, zafasowaną na Grzybowie. Żeby choć do komisarjatu, ale do dwunastej daleko i choinki Nr. 2474 nie zobaczy. Chyba te w oknie.

Podnosi oczy i puszcza się kłusem. Z okna biją płomienie i dym. Widać od choinki zajęła się firanka. Dziw, że nie ratują. Biegnie co tchu do bramy, dzwoni ostro. Dziesięć sekund rozmowy ze stróżem, a potem Nr. 2474 wpada i już trzymając słuchawkę przy uchu, tłucze widełkami. Prędzej, prędzej, czy ta telefonistka tam śpi?? Nareszcie!

— Siedem czterdzieści.

— Proszę pani drugi oddział straży.

— Zajęte.

— To do wypadku, proszę łączy!

Na szczęście dyżurny strażak odzywa się natychmiast.

— Tu mówi posterunkowy Nr. 2474, na czwartym piętrze, na Królewskiej 51, pożar od choinki. Tam zamknięta jest jakaś sama staruszka, przywieźcie drabiny, prześcieradło i sznury!

Odpowiada senny głos.

— Przyjęte, zaraz wyjeżdżamy.

* *

Manometr na stacji pomp wskazuje pełne ciśnienie. Właściwie prawie pełne, bo brakuje mu

(Dokończenie na str. 22-ej).





Ci co spędzają wigilję na posterunku: maszynista kolejowy, telefonistka, posterunkowy i stróż nocny.



Kongres feministyczny w Sorbonie zgromadził niesłychane typy kobiet współczesnych, np. policjantek londyńskich.



Państwową nagrodę literacką otrzymał w tym roku Ferdynand Goetel za „Serce Lodów".



Lądowy Alain Gerbault — Georges Bistany, podróżnik-samotnik, wybrał się do Nubii w poszukiwaniu białego nosorożca.



Nowomianowany ambasador Stanów Zjednoczonych we Francji, Walter Edge, przybył do Paryża i został przyjęty przez ministra Briand'a. Na ilustracji widzimy dostojnika amerykańskiego w towarzystwie małżonki.

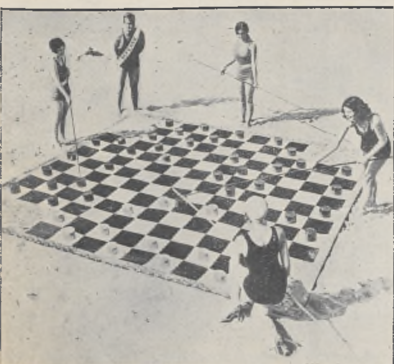
WESOŁYCH ŚWIĄT i SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

życzy Czytelnikom i Przyjaciołom wydawnictwo „7 DNI"

NASTĘPNY NUMER „7 DNI" UKAŻE SIĘ DNIA 31 GRUDNIA 1929 R.



Młodociany gwiazdor kinematograficzny, Jackie Hooray, przybył do Paryża, gdzie fantazje jego, jak wychodzenie w pyjamie na ulicę, budzą powszechną sensację.



Podczas gdy u nas spadły pierwsze śniegi, na Rivierach przygrzewa słońce, pobudzając pomysłowość szczęśliwców, którzy mogą tam przebywać, do coraz nowszych rozrywek.



Popularny toreador, Carmelo Perez, został ciężko raniony podczas walki w Meksyku. Ilustracja nasza jest jedną z bardzo rzadkich w swoim rodzaju. (fot. Wide-World).

KORNEL MAKUSZYŃSKI

SIEDEM DNI TYGODNIA

Tytuł tego pisma budzi we mnie nieodpartą żądzę rozważań, głębokich i straszliwych. „Siedem dni...“ Niby to nic nie znaczy, odmierza tylko pewien okres czasu, a jednak przy odrobinie inteligencji, można z tych dwóch słów wycisnąć wiele gorzkiego soku mądrości. Czytelnik sam tego uczynić nie zdoła, bo, jak rzekłem, potrzeba do tego łuta rozsądku. Zapytamy przeto, jakie znaczenie może mieć ten okres czasu w życiu człowieka, odpowie po dwudziestoczterogodzinnym namyśle, że siedem dni jest to zwyczajny termin, w którego ciągu robi się bigos w restauracji, a ósmego dnia po jego zjedzeniu człowiek w konwulsjach umiera. Tymczasem w tej świętej cyfrze dni, mieści się cały ogrom treści i gdybyśmy się zaczęli zastanawiać nad zagadnieniem, czego może dokonać człowiek w ich ciągu, wielki ten filozof, któryby to czynił, oszalałby wedle wszelkich naukowych reguł. Jest to wielki kawał czasu. Sam Pan Bóg zużył niemal tydzień na, niepotrzebne zresztą, stworzenie świata. Nie będziemy się jednakże wdawali w te wielkie sprawy.

Człowiek mniema, że tydzień, jest to tylko tydzień, a dlatego tak mniema, że z siedmiu jego dni, każdy jest do siebie podobny. W tem też tkwi rozpacz i przekleństwo, że człowiek po wielu miljonach lat eksperymentów, do tego jedynie doprowadził; przez wiele, wiele wieków po to się męczył i trudził, aby poniedziałek uczynić tak podobnym do soboty, jak dwie krople brudnej wody. Dlatego pewnie życie jest takie niemrawe, nudne, kaprawe, zezowate, złe, szare, melancholijne, nieciekawe, mdłe, ponieważ się składa z trzystu sześćdziesięciu pięciu nudnych elementów. Jak rok długi to samo, to samo i to samo: jedzenie o jednej porze, o jednej porze praca, gazeta, herbata, kłótnia domowa, awantura ze stróżem, listonosz, radjo, teatr, drzemka i niemal miłość. Dzień każdy wygląda, jak pozbawiona wszelkich sensacji gazeta, odbijana na wałku rotacyjnej maszyny. Niema wskutek tego nic straszliwszego nad zdzierany kalendarz, z którego każdego dnia zdziera człowiek jeden dzień swojego życia, bez żalu i bez wzruszenia. Serce ludzkie jest jak czerwona róża, a w tej atmosferze nudy wygląda jak róża zwiędła, z którego codziennie odrywa się jeden płatek. A to dlatego, że nasze życie jest jak ta maszyna, zamieszkała zazwyczaj u stróża, a zwana maglem; wykonuje ona nieskomplikowane ruchy, tam i z powrotem; dlatego zapewne takie jest wymięte i zgniecione.

Smutny to widok, taki nagi, nieskończony szereg dni, podobnych do siebie, szarą gębą urągających słońcu, co duszę z siebie wypala, aby na świecie jasno było i kolorowo i aby każdy dzień z osobna wyglądał tak barwiście, jak pasemko tęczy. Słońce czyni swoje, a matka djabła, rozpacz, czyni swoje: gdzie tylko dojrzy światełko, lub barwę, lub uśmiech, co z szarzyzny dnia, jak promienista chce wytrysnąć fontanna, wnet łapą kościstą go nakrywa i tak gasi, jak płomyczek lampki. Jeśli się z wielkiej czeredy dni, jeden zbuntuje, i cudownie lekkomyślny, chce stanąć na głowie, albo w ponurem milczeniu śpiewem zakrzyknąć, albo chce się upić słońcem i zataczać od poranka do wieczora, wnet się zjawiają srogie policjanty: konwenans, nuda urzędowa, głód, troska, zniecierpliwienie, szarość, jałowość, czy inna jaka cholera, chwytają za kołnierz takiego rozigranego obwinia i prowadzą do kryminału, w którym żywią więźniów czarną wątrobą, a poją kwasem złych humorów, octem siedmiu dewotek. „Do więzienia, do więzienia bez dalszego tłumaczenia!“ Na nic się bowiem wszelkie przyda tłumaczenie, kiedy uświęcona tradycja każe, aby dzień był dniowi podobny, a każdy miał wykrzywioną gębę. Zdawałoby się, że niedziela, dzień urzędowo zwolniony od trosk i smutków, powinna mieć twarz pogodną, a człowiek powinien śpiewać, szaleć i tańczyć. „Niema tak dobrze!“ — jak mówią we Lwowie. Niedziela służy od niepamiętnych czasów do tego, aby rodzina, mieszkająca w rozmaitych miejscach, zeszła się razem i do wspólnego kubła wlała wszystkie swoje rozpacze, żale, plotki, kwasy, żółć, nieodmiennie pan domu przesypia popołudnie, a wieczór w kinematografie, a panie wymieniają uwagi wzajemne o tęgości i jadowitej właściwości garnkotłuków.

Ha! Trudno! Szaleńcy twierdzą, że życie na to zostało stworzone, aby trwało w pięknie, a ludzie, ohydnie rozsądni twierdzą, że jest to straszliwie długa pończocha z lewej nogi, która ciągle się drze i którą trzeba bezustannie cerować. Nigdy nie można uzgodnić poglądów mądrych szaleńców i głupich filozofów. Istnieje na temat tego błędnego koła sprytna bajeczka, która w częstochowskich rymach wielką zawiera mądrość:

„Rozprawiał głupi o naturze ducha: mądry go słucha. Gdy skończył, głupi się zdumiał, że go mądry nie rozumiał. Więc z kolei głupi słucha, mądry rozprawia o naturze ducha. Gdy skończył, mądry się zdumiał, że go głupi nie rozumiał“.

Dawniej, kiedy na świecie nie było tak szaro, musiało być jakoś lepiej i czas żywota dzielono na smutek i radość. Powiedziane było: „ jest czas ku płakaniu i czas ku weseleniu się“. Gdyby człowiek żył wedle tego przykazania, byłoby dobrze, ale człowiek jest małpa i nie chce tego; człowiek chce się wciąż martwić. Człowiek jest to takie dziwne indywiduum, że jeśli go nic nie trapi, tedy on się tem trapi, że go nic nie trapi i w wielkiem strapieniu tak długo szuka, aż znajdzie strapienie. Ludzie oduczyli się śmiechu, wygnali go z domu i z serca i dziwną sprawią im przyjemność jakakolwiek udręka. Stąd pochodzi niepojęta napozór przyjemność ruszania obolałego zęba.

Każdy dzień tygodnia zmienił się w taki obolały ząb, tak, że po takiej samodręczącej operacji, cały tydzień wygląda tak spuchnięty, jakby uczynił wycieczkę w podmiejskie okolice, gdzie obcemu przybyszowi urządzają w ten sposób, że go długo biją po szlachetnej głowie. Ponieważ ją, nietylko z racji mojego zawodu, ale i z usposobienia należę do nielicznej kasty warjatów, uważających życie za coś pięknego, jako ten Don Kichot, rycerz najcudowniejszy, wiodę walkę z tymi baranami, co smętnie beczą, idąc do rzeźni bez obrony. Najstraszliwszym moim wrogiem jest piekielna figura z noweli Dickensa, taki drab, co wszędzie chodził zatruwać radość i wesele i szczęście; nie mógł patrzeć na to, jeśli komuś było dobrze, więc niezwłocznie do wina radości dolewał jakiegoś ponurego paskudztwa. Dnia jednego niema w tygodniu, abym na naszych drogach nie spotkał takiego obwiesia: jeśli ci się dzień dobrze zaczął, ukryj się, bo z jakiegoś kąta wylezie ten jegomość i jesteś zgubiony. W trumnie też cię jednak odnaleźć potrafi.

Nie jest to tedy winą dnia, że się na jego wieczorze, jak u spodu butelki, osadza męt i kwas. Dzień jest to stworzenie czyste, syn słońca i radości; chce być dobry i promienisty, ale mu nikt na to nie pozwoli; około południa ma przeto minę zrozpaczoną, a o zmierzchu tłucze głową o mur i zakląwszy, kładzie się w trumnę nocy. Djabeł wymyślił dwa narzędzia, które od samego świtu zatruwają życie słonecznego noworodka: gazetę i telefon. Każdego ranka gazeta zaczyna ci opowiadać takie miłe rzeczy, że ci się w najgorętszy dzień zimno robi, a potem telefon dopowie ci resztę. Cudowne musiało być życie w owych czasach, kiedy nie było gazet i telefonów. Dnie były wtedy urodziwe, a noce spokojne; skończyło się z chwilą, kiedy założono pierwszego Pata.

Byłoby może wszystko w porządku, gdyby biurokratycznie zastosować się do przepisu, który nakazuje, aby przez sześć dni człowiek pracował, a siódmego dnia odpoczął. Przepis jest bardzo mądry, ale zbyt suchy i zanadto uproszczony, dlatego też szybko uległ zmianom i modyfikacjom. Różni ludzie i różne narody różnie go tłumaczą. Zmianę najdalej idącą wprowadzili Polacy, starając się, aby każdy dzień cokolwiek przypominał niedzielę. Uznali ten pogląd za najbardziej słuszny artystowie wszelkich autoramentów, nie udając nawet, że im cokolwiek na tem zależy, aby się kto tem nie zgorszył. Początek uczynił cudowny lekkoduch, Horacy, swą doskonałą dewizą: „carpe diem!“ Anglicy, wyrachowani i wstrzemięźliwi, przedłużyli niedzielę o drugą połowę soboty. Romantyczni szewcy przedłużają ją w odwrotną stronę o cały poniedziałek, słusznie też nazywany „szewską niedzielą“; Żydzi święcą sobotę, a niedziela święci Żydów. Turki przemiłe zrobiły sobie niedzielę z piątku, pozatem inne dnie tygodnia starają się zachować w stanie wolnym od zbytniej pracy. Słowem, każdy wyłączyć się, jak może, słusznie czyniąc, wedle bowiem najnowszych badań, praca jest ciężką klątwą i wcale człowieka nie uszlachetnia; przeciwnie, czyni go zdenerwowanym, opryskliwym i napełnia irytacją. Dlatego też traktat Wilde'a „O potrzebie próżnowania“, wyprowadzony został z głębokiego znawstwa duszy ludzkiej.

Stanem zupełnej błogości jest ten stan, w którym człowiek nie wie nawet, jaki to dzień dzisiaj? Mam niejakie wrażenie, że zdołałem do tego doprowadzić, że mi to jest całkowicie obojętne, jak się jaki dzionek nazywa? Idzie mi o to tylko, czy jest słoneczny, czy płacze deszczem. Jeśli jest jasny i promienny, jest to powód wyborny do wypicia butelki wina, jeśli wyjrzy na świat, drżący z zimna, rozpłakany i owinięty w wyszarzaną kołdrę z chmur, jest to powód wyborniejszy jeszcze, do pokrzywienia deszczem pobitego ducha.

Może byłoby to wszystko bardziej zajmujące, gdyby dnie tygodnia miały imiona wesołe, piękne, dziwaczne i kolorowe, bo dotychczasowe nazwy dni są haniebnie niepomysłowe i nudno szare. Gdyby niedziela nazywała się Radość, poniedziałek — Przylądek dobrej Nadziei, wtorek Serdeczny, środa Wesoła, czwartek Szaleństwo, piątek Melancholja, a sobota Szczęśliwa Przystań, lub jakoś tak podobnie, możnaby imię dnia odpowiednio napełnić treścią. A tak? Niedziela nazywa się tak dlatego, że się wtedy nic nie robi, poniedziałek, bo następuje po niedzieli, wtorek, że to dzień wtóry tygodnia, środa, że środkowy, czwartek, że czwarty, piątek, że piąty, sobota, że to sabbat, czyli szabas. Nie można rzec, żeby w imiona dni ludzie włożyli zbyt wiele dowcipu; sobie wymyślają lepsze. Całe szczęście, że mnie to nic, a nic nie obchodzi, bo nawet piątek, jeśli jest słoneczny i rozśpiewany, jest dla mnie niedzielą. Ptaki nie znają nazw dni i kalendarza i są szczęśliwe. Dzieci także. Wniosek stąd prosty, że trzeba zreformować kalendarz w tym sensie, że każdy dzień ma być świętem, czy niedzielą, a pracować można, kiedy kto zechce. Mam niejakie wrażenie, że myśl ta oddawana już nurtuje w społeczeństwie, bo coraz więcej jest niedziel, a Ministerstwo Pracy czuwa troskliwie, aby się nikt nie przepracował.

Z. DĘBICKI

O dom marynarza polskiego

Kiedy niedawno szalała burza na Morzu Północnem i u wybrzeży Anglji, kiedy codzień czytaliśmy depesze o niebezpieczeństwie, w jakiem znalazły się okręty rozmaitych bander, mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że wśród tych okrętów znajdowały się także statki polskie, że więc i marynarze polscy toczyli w tych dniach krytycznych upartą walkę z rozszalałym żywiołem.

Od roku przecież obok statków państwowej „Żeglugi Polskiej" i prywatnego Towarzystwa „Robur", utrzymują stałą komunikację towarowo-pasażerską pomiędzy Gdańskiem a Londynem cztery statki Polsko-Brytyjskiego Tow. Okrętowego: „Premier", „Warszawa", „Łódź" i „Rawa". Te polskie *liner'y* przebiegają więc stale drogę, która od ujścia Elby do ujścia Tamizy jest właśnie tą drogą niebezpieczną, bo Morze Północne, kto wie, czy nie dla tego, że inaczej nazywa się ono *Morzem Niemieckiem*, nigdy nie bywa spokojne. Ma ono dużą falę nawet przy dobrej pogodzie, cóż więc dopiero mówić o huraganach, jak to stwierdziły wszystkie nadmorskie stacje meteorologiczne.

Czy i jakie przygody miała polska marynarka handlowa w czasie tych burz — nie wiemy. Wiemy tylko, że przetrwała ona wspomniany okres i to daje nam powód do zabrania głosu, w sprawie polskiego marynarza, którego obecność na morzach powinno być naszą dumą.

Niestety, tak nie jest. Polski marynarz — to dotychczas bezimienny żołnierz twardego obowiązku, o którym na lądzie nikt nie pamięta. Skoro okręt odbije od brzegu, tęskny wzrok za nim posyła tylko właściciel polskiej szynkowni. Skoro powraca z żeglugi — on jeden cieszy się z tego powodu i wita radośnie starych znajomych. Społeczeństwo natomiast polskie nic o tem nie wie. Nie wyłoniło ono z siebie dotychczas żadnej organizacji, która opiekowałaby się załogami okrętów. Nawet miasta, których miana okręty noszą, z nielicznemi wyjątkami nie poczuwają się do obowiązku opiekowania się „swojemi" statkami, co jest powszechnie przyjętym na świecie zwyczajem. Zdawałoby się, że to rzecz naturalna i prosta. Okręt nazywa się „Warszawa", więc Warszawa - miasto opiekuje się specjalnie tym okrętem. Okręt nazywa się „Łódź", więc to samo czyni Łódź. Tymczasem bardzo do tego daleko.

Marynarz polski wogóle niema jeszcze nic z tego, co mają inni marynarze.

Tak np. jedną z najbardziej palących potrzeb jest jaknajrychlejsze wybudowanie w Gdyni, jako w porcie macierzystym wszystkich okrętów polskich, *Domu marynarza polskiego*, t. j. takiego domu, gdzie marynarz, pozostający chwilowo bez zajęcia i oczekujący na zaciąg, znalazłby schludne pomieszczenie i tanią strawę, gdzie miałby kulturalną nad sobą opiekę, bа! gdzie mógłby nawet otrzymywać lub uzupełniać swoje wychowanie moralne.

Na tę stronę działalności domów marynarzy położony był niedawno silny nacisk, na XIII-em Zgromadzeniu Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie.

Rzecz wysoce znamienna, że nawet ten pochodził ze strony delegata Rzeczypospolitej chińskiej, p. Kao Lou, ambasadora Chińskiego w Paryżu.

„Do wychowania moralnego marynarza — mówił egzotyczny referent — szczególną przywiązuję wagę. Zawód marynarski wymaga od tych, co mu się poświęcili, doskonałego zrozumienia swoich obowiązków. W chwilach krytycznych, jak w chwili katastrofy okrętowej, ludzie morza nie mogą myśleć o tem, jak uniknąć śmierci. W godzinach ciężkiej próby muszą oni stawać się bohaterami, ratując przedewszystkiem słabszych, t. j. kobiety i dzieci przy pomocy wszelkich rozporządzalnych środków. Wymaga to od nich samozaparcia, które jest do osiągnięcia tylko przez odpowiednie wychowanie moralne.



Stałym bilansem lądowych „wyczynów" marynarza, jest raport karny.
(Fot. st. mar Antosiewicz).

„Dalej należy dbać o to, aby marynarze umieli pomagać sobie wzajemnie, a w szczególności, aby starsi pomagali młodszym. Kto zna życie okrętowe, ten wie, iż jest naodwrót, że na młodszych spadają zwykle najcięższe prace, najtwardsze obowiązki. Starsi marynarze wysługują się „jungami", a jeżeli ci nie umieją spełnić, włożonych na nich zadań tak dobrze, jak to czynią doświadczone „wilki morskie", to te „wilki" zamiast im dopomódz i nauczyć ich rzemiosła morskiego, oskarżają ich przed kapitanami okrętów za nieudolność. Wytworzyć więc pomiędzy starszymi a młodszymi marynarzami harmonijne współżycie stanowi drugi postulat wychowania moralnego, opartego na ewangelizacji wielkich idei równości i braterstwa.

„Na trzecim dopiero planie w projekcie ministra Kao Lou stoi wykształcenie marynarzy. Tu zwraca on uwagę na to, że marynarze mają z natury swojego zawodu daleko szersze pole do spostrzeżeń, niż uczeni na lądzie. Żeglarz, który opływa świat dokoła, który raz widzi nad sobą wyiskrzone gwiazdami niebo północne, aby następnym razem podziwiać krzyż południa, jest jakby przeznaczony na to, aby był astronomem-obserwatorem. Trzeba mu więc dać odpowiednie przygotowanie, zapoznając go z metodami naukowemi obserwacji na niebie. Podobnie okręty mogą być pływającemi stacjami meteorologicznemi, trzeba tylko, aby ktoś czynił na nich i zapisywał dokonane spostrzeżenia. Popularyzowanie wiedzy przyrodniczej wśród marynarzy jest więc niezbędne. Pierwsze wiadomości naukowe powinien posiadać nietylko oficer, lecz i prosty mat".

Oto krótko i węzłowato ujęty referat chińczyka, myślącego z troską o swoich, pływających po morzach współbraciach i usposobionego bratersko dla wszystkich marynarzy wszystkich oceanów i mórz.

Jest w tem wyraźnie nakreślony program tego, na co należy i u nas zwrócić uwagę przy organizowaniu *Domu marynarza polskiego* w Gdyni.

Domu takiego jeszcze nie mamy, ale powstać on musi. Doniosłość tej instytucji zrozumiał dobrze inicjator i główny dzisiaj opiekun polskiej marynarki handlowej, p. minister Kwiatkowski, i dla upamiętnienia dziesięciolecia odzyskania przez Polskę dostępu do morza postanowił dążyć do jaknajrychlejszego zbudowania *Domu marynarza polskiego.*

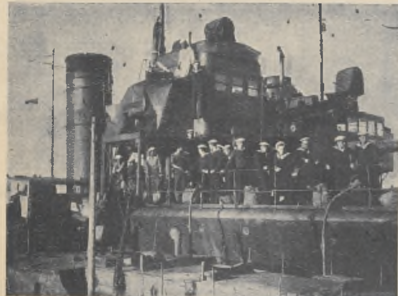
Inicjatywa ta wymaga jednak poparcia ze strony całego społeczeństwa, które w ten sposób zda egzamin z tego, iż rozumie, czem jest morze dla odrodzonego państwa i czem jest dla niego własna marynarka handlowa.

Wychować marynarza polskiego na dzielnego fizycznie i moralnie pracownika, a gdy zajdzie tego potrzeba, na bohatera — to zadanie wdzięczne, lecz i trudne zarazem, do marynarki bowiem, jak wszędzie, tak samo i u nas, garnie się żywioł, który kieruje się przeświadczeniem, że „co ma wisieć, nie utonie". Żywioł to nie bez zalet, jeżeli idzie o odwagę, lecz awanturniczy, uważający bójkę i rozprawę nożową za rzecz zwyczajną.

Oficerów mamy dobrych, nawet bardzo dobrych, cieszących się uznaniem u swoich i obcych. Ale nad „wychowaniem moralnem" zastępu prostych marynarzy musimy jeszcze dobrze i z wysiłkiem popracować, aby ich wyrwać z pod wpływu tawern portowych.

* * *

Do rozpoczęcia tej właśnie pracy niezbędny jest *Dom marynarza polskiego.*



Stała załoga torpedowca, opuszcza go na leża zimowe.
(Fot. st. mar. Antosiewicz).



Praca na okręcie. Czyszczenie łańcucha kotwicznego.
(Fot. st. mar. Antosiewicz).

TO, O CZEM SIĘ

Istnieją tematy, których nie wypada poruszać w przyzwoitem towarzystwie. Na samą więc myśl, iż jestem zmuszony w tej oto chwili, gdy przebywam w wytwornem towarzystwie pięknej czytelniczki względnie łaskawego czytelnika, pisać o tem, o czem się nie tylko nie mówi, lecz nie myśli nawet, cierpnie mi tu i tam skóra.

Znam jednego tylko człowieka, który posuwa swoją... bo ja wiem? — perwersję? — do tego, że mówi i pisze na tematy zakazane, nie rumieniąc się i nie używając liści figowych do osłony nagiej okropności. Tym strasznym człowiekiem jest Winawer. Mówię głośno i odważnie — Winawer. I co mi kto zrobi? Winawer? Wyjechał na święta!

Z tego właśnie korzystam i mówię swoje „J'accuse!" Obwiniam wszystkich tych, co sączą jad w dusze naszej młodzieży, bez różnicy wieku (do 80-letnich smarkaczy włącznie!) Obwiniam wszystkich tych, którzy sprawili, iż mój bratanek — poczciwe dziewiętnastoletnie pacholę, oczko w głowie wszystkich ciotek, babć, pociotków i pobabków, miast iść śladami swych praojców i pędzić życie beztroskiego dolce far niente, zrywa z uświęconą wiekami świętą — tak! tak! panie Winawer! — *świętą* tradycją i oświadcza pięknego dnia wobec mdlejących z przerażenia opiekunów, iż postanowił zostać inżynierem.

A zaczęło się niewinnie. Od początku. Od Winawera. Zaraz potem zaczął zamyślać się w sposób zupełnie podejrzany i dwuznaczny. Najstarsi w naszym rodzie nie pamiętają czegoś podobnego! Zaraz na to zwróciłem uwagę. Na własne oczy *widziałem, jak myślał!* Oby uszy moje uwiędły, które po raz pierwszy usłyszały, jak spytał:

— Czy wiesz, drogi stryjku, że słońce jest tak wielkie, iż może swobodnie pomieścić miljon takich kul, jaką jest nasza ziemia?

Oniemiałem. Upłynęło sporo czasu, zanim zdołałem opanować dławiące mnie wzruszenie:

— Picuś! Co ci jest? — spytałem. (Picuś to on, — mój nieszczęsny bratanek).

— Nasza ziemia jest drobnym pyłkiem, wirującym dookoła jednego z dziesięciu miljonów słońc — rzekł w zadumie.

— No i cóż z tego, kochanie? Uspokój się! Może wody?

— Czy możesz mi dać stryju trochę pieniędzy?

Oddałbym mu swoje serce, aby tylko przestał mówić o takich rzeczach. Nie pytałem wiele. On też nie pytał — wziął.

Myślałem, że będzie zdrów. Czyż nie uczynił rozsądnie?

Przekonałem się nazajutrz dopiero, jak wielkiego zniszczenia dokonała w duszy niewinnego pacholęcia nieodpowiednia jego wiekowi lektura! Czy wiecie, na co to dziecię wydało pieniądze? Mniejsza o pieniądze!

Miał to wszystko porozkładane na stole, gdy przyszedłem, aby go odwiedzić i czuwać nad nim.

Lewa strona stołu była zajęta olbrzymią piramidą książek. Był tam i Winawer, były i inne niemniej okropne w swoich konsekwencjach trucizny, a reszta stołu dźwigała połowę zawartości jakiegoś sklepu z lampkami elektrycznemi, czy czemś takiem.

— Picuś! Cóż to? Masz zamiar dzwonki zakładać?

— Nie, stryju! Buduję radjo.

* * *

Tak, Picuś był stracony...

Nie złożyłem broni, nie ustawałem ani na chwilę w swych usiłowaniach, aby wyrwać to drogie nam wszystkim dziecię z odmętu... Nie jestem winien, jeśli mi się to nie udało!... Niech oto te urywki rozmów moich z Picusiem posłużą mi za całe usprawiedliwienie i dowód mojej dobrej woli. Sądźcie!...

NAWET NIE MYŚLI

* * *

Picuś: Dwadzieścia miljonów radjoamatorów na całym świecie posiada własne odbiorniki. Czy wiesz, stryju, co to znaczy? To znaczy, że conajmniej 80.000.000 osób korzysta codziennie z dobrodziejstw radjofonizacji świata, a w tem, licząc najskromniej — 40.000.000 kobiet.

Stryj t. j. ja: (nadrabia miną). — Widzisz Picuś! Wśród tych 40.000.000 kobiet napewno znajdzie się jedna — druga, niebrzydka. Ożeniłbyś się.... Możeby to przeszło?

Picuś: To jest myśl, ale załatwimy to potem. Najpierw muszę uzyskać połączenie z Nową Zelandją.

Stryj: (nie może z miną nic poradzić). — Połączenie z Nową Zelandją?!

Picuś: Za tydzień będzie gotów mój nadajnik krótkofalowy. Teraz właśnie wkuwam się w znaki Morsa.

Stryj: W co?!

Picuś: O! W te kreseczki i kropeczki. Widzisz, stryju? Tu kropka i kreska. To znaczy „a", to „n", to „k"... Co ci jest, stryjku?...

* * *

Stryj: Przyjechałem do ciebie tą... taką taksówką. Żebyś ty tylko mógł ocenić, mój Picusiu, moje dla ciebie poświęcenie! Już mię jednak na to więcej nie nabiorą! Starość ma swoje prawa. Sam czytałem zresztą, że powinni „oni" jeździć z szybkością 30 kilometrów na godzinę, a czułem się tak, jakby mną wystrzelono z procy.

Picuś: Cóżbyś powiedział, mój stryju, o szybkości, z jaką mknie fala radjowa, o szybkości 300.000 kilometrów na sekundę.

Stryj: (miał dosyć).

* * *

Picuś: Mam zamiar nadawać na fali długości 32 metry. Sprawia to mi pewien kłopot. Zbyt krótkie fale...

Stryj: A nie mógłbyś popuścić na tej długości? Już skoro stało się, mógłbyś sobie nie żałować. Potrzebujesz pieniędzy?

Picuś: Na to nie trzeba pieniędzy, mój stryju!...

I to było najokropniejsze, że nasz Picuś wydawał teraz mało pieniędzy. Znacznie mniej, niż przed wojną... Co mówię? Przed tą całą swoją chorobą, chciałem powiedzieć!

* * *

Picuś: Jestem ciekaw, mój stryju, czy na księżycu są ludzie? Jeśli są i wynaleźli na swoją rękę radjo, to jak postępują nie mając uziemienia?

Stryj: — ?!

(Tego samego wieczoru biedny stryj poszedł na film „Kobieta na księżycu", aby się tylko dowiedzieć. Czego nie robi z nami miłość stryjowska?).

Tak minął miesiąc.

* * *

Wczoraj Picuś uzyskał połączenie z Nową Zelandją.

* * *

Mamy z Picusiem okropne zmartwienie. Honolulu nie odpowiada. Wczoraj jeszcze piszczał ten tam honolulczyk, czy jak tam, a dziś ani mru-mru! Musiało mu się coś przytrafić.

Mamy z Picusiem już kilkadziesiąt QSL; Państwo nie wiecie, co to znaczy? To są takie karty, na których piszą z całego świata, że słyszeli nas z Picusiem. Dziś właśnie australijczyk jakiś doniósł, że odbiór naszych sygnałów był R 8. Moc w naszej antenie wynosi... Zresztą wy się na tem, wszystko jedno, nie znacie, moi drodzy!... W przyszłym tygodniu będziemy nadawali na fonji!

* * *

I wszystko byłoby już dobrze, tylko żeby nie ten nowy dziki pomysł Picusia. Uparł się i chce zostać inżynierem!

S. W. B.

STEFAN ŁOŚ

WIGILJA
POD ZWROTNIKIEM

Wszystko naodwrót!

Zbliżało się Boże Narodzenie, więc upały stawały się coraz gorsze, noce parne, a kiedy przeszedł deszcz ulewny, nietylko że nie odświeżał powietrza, ale przeciwnie — tak nasycał wilgocią ziemię i niebo, że człowiek czuł się jak w łaźni i ledwie dysząc szukał skądśkolwiek lubej ochłody.

Gdzieniegdzie po kolonjach dojrzały już łany żyta i pszenicy, tu i owdzie wyszli już nawet w pole żeńcy i żniwiarki w barwnych chustach i pasiastych zapaskach...

Zupełnie jak w Polsce! tylko dziwnie to wyglądało na tle palm strzępiastych i pinjorów wyniosłych wetkniętych w ziemię, jak parasole lub pietruszka olbrzymia, o zielonym, płaskim baldaszku.

I... wszystko naopak!

W listopadzie, ani rusz nie chciały opadać liście — wiecznozielone lasy nie zmieniały swej barwy, szarzały tylko nieco pod piekącemi promieniami słońca, a nieliczna roślinność, tracąca listowie na zimę — teraz w listopadzie stroiła się w wiosenną szatę i stała już w pełni krasy. W grudniu była wprawdzie gruda — bo żar słoneczny wyssał resztki wilgoci z dróg i ścieżek, a ludzie w największe upały szukali ulgi we wspomnieniach: jaka to była ciężka zima w tym 1928 roku! Nawet, czego najstarsi ludzie nie pamiętają — padał śnieg... 11-go lipca... i całe godziny leżał na ulicach i placach Kurytyby.

Było to bowiem na drugiej półkuli — w Brazylji.

— — — — — — — — —

W zagrodzie Grzelaków panował świąteczny ruch — całe obejście wysprzątano... baby pojechały do Araukarji, pobliskiego miasteczka, poczynić niezbędne zakupy, a stary Grzelak od rana, jak co roku, łaził z kąta w kąt i utyskiwał, że maku nie będzie na wilji, że grzybów niema i że nawet porządnego pinjorka nie znaleźli na choinkę, jeno taki, który ani rusz polskiego świerczka nie przypominał.

Tak było co roku... zawsze w wilję starego Grzelaka tęsknota chwytała za starym krajem i wszystko mu było złe. Synowie sobie pocichu z ojca pokpiwali, stary złem okiem na nich wtedy patrzał, szczególnie na młodszego, który się z mulatką ożenił i synka miał.

Ten wnuczek się Grzelakom nie udał: czarne to było jakieś a inne od reszty Grzelacząt, mających włosy jak len, a oczy jak bławatki na polskim łanie.



Fazenda na St. Matheus

I żymał się dziadek, kiedy malec zamiast po katolicku: „Tato!“ darł się w niebogłosy:

— Pae! pae!“

Wieczorem Grzelak własnoręcznie siana pod obrusem naprószył i kiedy słońce zgasło, a jednocześnie najstarszy z wnucząt, Walek, pierwszą gwiazdkę zaanonsował, Grzelak uroczyście drżącą ręką po opłatek sięgnął i zaczął się dzielić z rodziną, każdemu życzenia składając.

Jeno kiedy do synowej-mulatki podszedł — coś tylko mruknął, a, gdy ta sięgnąwszy, jako inni, po opłatek, parsknęła śmiechem, cofnął rękę i coś długo burczał pod nosem o nieszanowaniu świętości.

Zapalono potem choinkę... Grzelak drżącym głosem zaintonował „Bóg się rodzi...“, ciągnęła jękliwie Grzelakowa, piszczały coś nie coś dziewczęta, ale krótko, bo za oknem już usłyszały Mauricia, który od dawna już zalecał się do Hanki i pod oknem coraz śpiewał tęskne tanga i ogniste maczicze, pobrzękując na gitarze. Rzuciły się do okien i inne dziewczęta i wkrótce tango przygłuszyło słabe głosy staruszków.

Grzelakowie przenieśli się na drugą stronę chałupy i siedli na przyźbie.

Wieczór był parny i cichy, zdala jeno grały cykady i słychać było głos sarakury...

— Hej... a tam u nas bialutko — wzdychał stary—śniegi naokoło i mróz siarczysty...

— O, Jezu! — chlipała Grzelakowa, nagłą żałością zdjęta.

— Ha, Magda — trza nam chyba do starego kraju wracać — snuł projekty — i chocia z głodu zdechnąć, a kości na swej, polskiej ziemi złożyć.

— Baczysz, Magda, — jako to było wtedy, w to ostatnie Boże Narodzenie, kiedyśma mieli wyjeżdżać—hej! pod kościołem po lodzie się rzekę przechodziło, a w kościeleśmy tak pięknie śpiwali...

...i stary zaczął nucić drżącym głosem, a wtórowała mu żona:

„Wśród nocnej ciszy
głos się rozchodzi....“

— — — — — — — — — —

A po drugiej stronie chałupy młodzież się ochociła i na całe gardło wyśpiewywała:



— Quando é sá noite em terra, moçinha...

* * *

Wilja naopak...

Miast śniegu — tumany pyłu i kurzu, miast mrozu — upał duszący za gardła, miast radosnego, nabożnego dźwięku kolend bożenarodzeniowych — miłosne trele jakiegoś zakochanego Mauricia. Tęsknica chwyta za piersi emigrantów, pamiętających gwiazdkę „w starym kraju“. Żałość jakaś dziwna napełnia serca, a niejedna serdeczna łza toczy się po steranej życiem twarzy.

Młodzież, wychowana lub urodzona na obczyźnie z ciekawością, niedowierzaniem a często politowaniem patrzy się na swych rodziców. Nie rozumie, co to jest tęsknota za krajem i za tem, co się tam pozostało. Bo chociaż tysiące polaków wyruszyło na tułaczkę za morze, jednak duszą i myślą pozostali w Ojczyźnie.

Dlatego też, zasiadając przy wigilijnym stole, nie trzeba zapominać o nich, którzy łączą się z nami sercem, a którzy może nigdy niezłożą swych kości na polskiej ziemi.



Chłopki polskie w Araukarji (na lewo), prymitywna chata polskiego pioniera w puszczy brazylijskiej (na prawo), nabożeństwo w kościołku polskim, w stanie St. Catharina (u dołu).

Dr. EUGENJUSZ MELLER

Piernik i marcypan w polskim folklorze

W aureoli mnóstwa świec na gałązkach Bożego drzewka skrzą się i jarzą różnolite cacka, spowite w pstre cynfolje, a z pośród powodzi nęcących słodyczy wszelakiego rodzaju, wylęgają się pulchne pierniki i marcypanowe bawidełka. One to bowiem, zwłaszcza miodne pierniczki z wizerunkami świętych i ozdóbki z marcypanu, okraszone blichtrem tekturowych wspaniałości, w choince naszej pierwsze zajmują miejsce. Mają też one i bogatą, przez wieki uświęconą tradycję, ciekawą historję.

Fabryki pierników były już przed sześciu wiekami znane, stając się zczasem nieodstępnym smakołykiem dla maluczkich i starszych. Szlachetny kunszt sporządzania pierników wydoskonalił się niebawem tak dalece, iż wśród cechu piekarskiego dominujące zajął stanowisko. W Niemczech zwłaszcza kwitło to rzemiosło ku uciesze smakoszów na szeroką skalę. Pierniki są wytworem prawie że niemieckim. Z nim związane są liczne legendy. Niemniej słynne, na świat cały są pierniki nasze, t. zw. *toruńskie*, które dzięki dobroci zyskały sobie rozgłos powszechny. W starych kronikach i dokumentach, odnoszących się do przemysłu bartniczego i piernikarstwa polskiego znajdujemy ciekawe wzmianki o rozwoju i eksporcie, zwłaszcza toruńskich smakołyków. Czytamy więc tamże, że pierniki polskie wysyłano masami z Torunia statkiem do Gdańska, a stamtąd do Paryża, Londynu, Rzymu i nawet do Afryki. Jedna z najstarszych, a olbrzymich fabryk piernikarskich istnieje już od r. 1751 w Toruniu pod firmą G. Weese, następna stara firma, to Herman Thomas, najmłodsza zaś fabryka polska, Jana Ruchniewicza powstała dopiero przed dwudziestu laty.

Podczas, gdy w czasach najnowszych zadawalamy się zazwyczaj piernikami gładkiemi, bez ozdób specjalnych czy facecyj artystycznych, to w epoce Renesansu kolekcjonowano szczególnie piękne, a rzadkie okazy. Wiedzieć bowiem trzeba, że wówczas najpiękniejsze godła patrycjuszów, bogate stroje pięknych modniś, całe nawet obrazy z łowów medycejskich transponowane były wiernie na miąższ pierników! W muzeach zagranicznych istnieje do dziś mnóstwo świetnie zakonserwowanych pierników małych i olbrzymich z wizerunkami wybitnych osobistości lub konterfektami możnych władców owego czasu. Nie brak tam i artystycznie wykonanych odbić reliefowych arcydzieł, jak np. „Sądu Parysa", „Dawida z harfą", „Narodzin Chrystusa", „Marji z Dzieciątkiem Jezus" i w. in.

Wielkim smakiem artystycznym odznaczały się też pierniki polskie toruńskiego wyrobu. Miały one swój kształt specyficzny, t. j. formę specjalną, na której powierzchni z gładkiej strony artyści rzeźbili figury różnorakie. Nie brak było wizerunków świętych i królów polskich w uroczystych strojach koronacyjnych, jakoteż historycznie wiernych rycerzy w sławnych zbroicach, lub dam w ozdobnych szatach, dworzan, paziów, wreszcie żołnierzy, zwłaszcza oficerów polskich na koniu z roku 1830. Prócz tego ozdobione były figurynkami ze świata zwierzęcego i flory rodzimej.

Najdawniejsi piernikarze zawodow wyszli oczywiście z cechu zwykłych piekarzy. Z biegiem stuleci atoli, odosobnili się od „bułkarzy" i z nich wyzwolił się później zawodowy związek wytwórców piernikowych. Najdawniejsi piernikarze polscy, dzięki ogromnej praktyce i erudycji w swym zawodzie, mieli swe tajemnice fachowe, dochodząc do przekonania, że im dłużej leżało specyficznie rozrobione ciasto na piernik, tem lepsze ono było. I dlatego też ciasto stare, „wiekowe", przeznaczone dla przemysłu piernikarskiego, przechowywane było zazwyczaj nader starannie w piwnicach, szczelnie zamkniętych i pilnie strzeżonych. Klucz do ciasta, tego wielkiego skarbu i majątku posiadał jedynie właściciel i dwie najstarsze osoby jego rodziny. I nierzadko nawet, takie „sekretne" ciasto na piernik, zapakowane w beczkach, służyło za wiano dla córki!

Dopiero w r. 1643 powstał w Norymberdze zupełnie już niezależny „cech piernikarzy" o własnych statutach, który wkrótce w przemyśle cukierniczym zajął pierwsze w Niemczech stanowisko uprzywilejowane. Ale też i pierniki innych miast, jak w Bazylei, Brunświku, Bremie, Hamburgu i Gdańsku zyskały sobie rozgłos niemały. Niemniej słynnem jest obecnie piernikarstwo polskie, gdzie wyroby jego mają markę nieomal światową i bywają eksportowane do krajów nawet zamorskich. Pierniki t. zw. „ulmskie", wyrabiane w mieście Ulm, są, gwoli specjalnego gatunku przymieszek, nader poszukiwane i konkurować mogą jedynie z naszym wysoko rozwiniętym przemysłem pierników poznańsko-pomorskich. St. Dąbrowski wspomina w swem dziele, że zamm potworzyły się fabryki wyrobów piernikarskich, już „...w r. 1598 układano specjalne przepisy dla piekarzy tego cechu. Każdy z robotników odbywać musiał fachową naukę, o pół roku dłużej, jak piekarz zwykłego pieczywa, czyli pełne dwa lata". Każdy piekarz wyciskał na piernikach swego wyrobu specjalny znak, którego stale używał. Za opłatą wynajmywał na rynku miejsce na postawienie ławy, nad którą zawieszał też swe godło. Sprzedawał tam t. zw. powszechnie, dotąd znane „Katarzynki" z wizerunkiem św. Katarzyny w formie prostokątnych pierników, o specjalnym, dobrym smaku. Na jarmarkach, zabawach, odbywających się po dużym odpuście sprzedawano toruńskie czy bydgoskie pierniki z figurami, wypiekane czasami tak kunsztownie, że wzbudzały powszechny zachwyt. Zdobiły je wizerunki Bonapartego, Fryderyka Wielkiego i Kościuszki...

W drugiej połowie XVIII wieku podupadać zaczął sławetny cech piernikarski na skutek surowych rozporządzeń cesarza austrjackiego, Józefa II, zakazującego pod groźbą wielkich grzywien przywozu tych „obrzydliwych bab i placków!..."

Na miejsce obumierającego przemysłu piernikarskiego powstał nowy handel... marcypanami. Prawo obywatelstwa w Niemczech uzyskał właściwie marcypan już w XVI wieku, w XVIII jednak dopiero wieku zwycięża piernik. Marcypan wywodzi swój rodowód z Włoch północnych, na co etymologicznie wskazuje nazwa, albowiem składa się z dwóch części: z starołacińskiego wyrazu „maza", t. j. madziewka, czyli mieszanina i ze słowa „pane", t. zn. chleb.

Wskutek ówczesnego handlu ożywionego Niemiec i Italji, drogą przez Brenner, marcypan znalazł wnet wielu zwolenników i zagorzałych amatorów w krajach Północy. W mieście portowem, Lubece (Lübeck) pieczono nawet w dniu św. Marka małe placki, rozmiarów zazwyczaj włoskiego orzecha, nadziewane pewną masą o smaku specjalnym, które przezwano później „chlebem św. Marka" („Markusbrot"), lub popularnie „marci-panis...."

Podczas biesiad wytwornych i godów u szlachty dostojnej, czy w końcu u pławiących się w bogactwie mieszczan, odegrał marcypan niepoślednią rolę. Na dworach książęcych i na królewskich, widniały całe „góry marcypanowe", ze względu na wziętość niebylejaką u płci pięknej! Nie było jednej biesiady u bogatych patrycjuszów miast Rzeszy Niemieckiej, gdzieby zbytku nie było w takich słodyczach. Doszło nawet do maniactwa marcypanowego. Naprzykład Rada miasta Lipska w r. 1701 wydała surowe rozporządzenie, zabraniające luksusów tego rodzaju.

I w Polsce marcypany święciły swoje triumfy w wieku XVII i XVIII. Uważane były za szczyt zbytku. Na ślub Władysława V z Cecylją Renatą wypieczone były piernikowe podobizny (1637), a słodycze marcypanowe, w formie pięknie rzeźbionych karet ówczesnych, nęciły smak i oko. Z powodu zaślubin następcy tronu, Fryderyka Ludwika Karola w r. 1793 wysłali toruńscy piernikarze do Berlina marcypanowe pierniki z t. zw. „cesarskiego ciasta", z koronami z tego słodkiego daru...

W ciekawej, kuliarnej książce, wydanej w XVIII wieku u jakiegoś księgarza w Frankfurcie nad Menem p. t. „Ein Kochbuch des Churmainzischen Hofkochers Max Rumpoldt", wylicza kuchmistrz pierniki toruńskie i gdańskie, oraz marcypan biały i zielony, podając recepty na sporządzanie wspaniałych „pączków marcypanowych". Bazylejska książka gastronomiczna Anny Weckerin z r. 1609 podaje znowu sposób najlepszy na t. zw. arcywyborne „Quitten"-marcypanowy!..

CZY WIECIE ŻE...

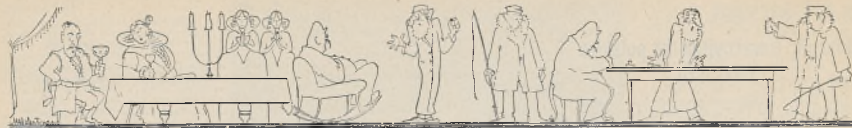
...według obliczeń jednego z angielskich ekspertów, zmniejszenie wydajności pracy wskutek hałasu, powoduje w samej Anglji straty w sumie miljona funtów szterlingów tygodniowo.

*

...w Ameryce próbowano robić fotografje na stali przy pomocy silnych środków wybuchowych. Błona fotograficzna spala się doszczętnie przy wybuchu, zaś na stali zostają po oziębieniu wyryte zarysy sfotografowanego przedmiotu.

*

...w Japonji używa się do wypróbowywania nowych spadochronów małp, zamiast ludzi. Wyniki dają identyczne możliwości do obserwacyj.



WITOLD BUNIKIEWICZ

OPOWIEŚĆ O NIEPRZYJEMNYM DJABLE ROKICIE

(ILUSTROWAŁ M. WALENTYNOWICZ)

Długi czas Boruta wystarczał na całą Polskę.

Młody był, zwinny, jeszcze się nie zapijał i niewiele miał koligacji pośród szlachty.

Ale djabeł, chociaż nie umiera, jednak się starzeje i co kiedyś mógł zdziałać za młodu, później już nie może.

Ot, naprzykład:

Wojewodzina Ściborowa miała tak liczny dwór, iż nawet cesarzowa niemiecka nie mogła się podobnym pochwalić.

Dwieście panien występowało w jej orszaku, a każda tak dobranej urody i wdzięku, iż kto je raz widział, nie mógł nigdy zapomnieć.

Panny nie były zbyt twarde, lecz wojewodzina trzymała je żelazną ręką, albowiem zagarniała sobie wszystkich mężczyzn, mając fraucymer niby przynętę na szczupaki.

Połknął niejeden rybkę, z gardła mu ją wydarła i łakomca zabierała dla siebie.

Boruta wpadł w oko Ściborowej, pozwała go więc na biesiadę i wcale nie myślała wypuścić.

Gościła tydzień, miesiąc, kwartał, aż dziwiły się panny, że patronka ich, jakoby druga nimfa Kalipso, więzi męża na swym dworze.

Gdyby innemu djabłowi przytrafiła się taka gratka, zgubiłaby dwieście dusz odrazu.

Boruta zaś wtrącił w piekło zaledwie dwanaście duszyczek i to już tych najuporczywszych, które dopominały się tego koniecznie.

W piekle patrzono z wielkiem politowaniem na wojewodę łęczyckiego.

Widziano jak się pocił, ociągał i wymawiał to humorami, które mu stąpają do głowy, to dźganiem w łopatkach i zimnicą.

Zauważono zaś, że Boruta nie pociągnął za sobą ani jednej dziewki pośledniejszej kondycji, choć były rumieńsze i urodziwsze od wielu szlachcianek.

I zaraz czart Axabel, który jest rachmistrzem djabelskim i prowadzi rejestr dusz potępionych, zabrał się do sprawdzania ksiąg i zameldował Lucyperowi:

— Wogóle niewielu Polaków smaży się w smole piekielnej, a jeśli jest ich trocha, to przeważnie dobrze urodzeni.

Spochmurniał wielki Lucyper, a wiadomo, co się dzieje, gdy djabeł nad djabły zmarszczy oblicze.

Piekło całe staje w ogniu, a krzyk dusz zatraconych napełnia przestwory.

Wtedy ludzie słyszą wichry i tumanice, a wtajemniczeni w mowę niebios i ziemi pobożnie znaczą piersi krzyżem świętym.

Gdyby tak zbłaźnił się wojewoda niemiecki, francuski, lub żydowski, złożyłby go Lucyfer z urzędu i kazałby mu za karę rąbać drwa lub zamiatać piekło.

Dla Boruty ma jednak książę piekieł osobliwsze względy.

Raz, że są spokrewnieni przez Kossobudzkich, gdyż ciotka babki Boruty wyszła zamąż za syna Lucyperowego, a powtóre, Boruta położył wielkie zasługi dla piekieł, o których wiedzą wszyscy djabli.

Czartowska rada postanowiła przeto nie odwoływać z ziemi wojewody łęczyckiego, lecz przeznaczyła mu pomocnika, któryby go wyręczał w sprawach trudnych dla starszego wieku.

Kogo jednak wysłać do Polski?

Najpierw, ofiarował książę ciemności ten wysoki urząd członkom Rady piekielnej.

Wszyscy jednak pokolei wymówili się.

Robon, westchnąwszy ciężko, usprawiedliwiał się ciężkością w nogach, Mojsur nie mógł się rozstać z jadłem piekielnem, bo każde inne mu nie służyło. Bobon nie znosił zapachu ziemi, a Kurdela zdrzemnął się nieco podczas obrad, więc Lucyper nie pytał go nawet o zdanie.

Ponieważ Polski nie można było zostawić w takiem opuszczeniu, więc doradcy księcia ciemności postanowili czemprędzej wyszukać Borucie pomocnika.

Długieby to było napewno szukanie, gdyby nie przyszedł z pomocą faktor Berek, który, choć niedawno bawił w piekle, wiedział już, co wart każdy djabeł.

Owóż Berek, zauważywszy zmartwienie Robona, przemówił w te słowa:

— Poco ten kłopot, kiedy można mu zaraz zaradzić.

Znam akuratnie takiego czarta, który jest w sam raz do tego interesu.

— Powiedz, powiedz, drogi Berku, gdzie on jest i jak się nazywa? — zawołał ucieszony Robon.

— Ciężką miałem sprawę, zanim go wynalazłem — mówił faktor.

— Sto lat będziesz wolny od smażenia się w smole.

— Sto lat za taki brylant?

— Dwieście — zawołał Robon.

— Ani za tysiąc nie mogę, — odrzekł Berek, zabierając się do odejścia.

— Niech będzie tysiąc — obiecywał radca piekielny.

— Na piśmie i z podpisem Lucypera — dopominał się faktor. Inaczej tę bagatelkę załatwi wielebny pan Robon lub Mojsur, a może nawet Kurdela...

Robon zgodził się na warunki, a Berek rzekł:

— Rokita...

— Co za Rokita?

— Wielebny pan ławnik go nie zna? Ten cham, który wozi wodę, na umywanie statków piekielnych. Bardzo nieprzyjemny djabeł, ale do Polski akurat.

Robon kazał przywołać Rokitę.

Wysoki, zawalisty, w ręku trzymał bat, a odziewał się w kożuch i długie buty, chociaż w piekle aż syczało z gorąca.

Szedł ciężkim krokiem i pogwizdywał sprośne piosenki, których nauczył się na ziemi, jeżdżąc tam codzień po wodę.

Widno, iż trzymał kompanję z ludźmi, bo klął, że aż skóra cierpła.

Na Berka zaś spoglądał z nietajoną złością i gdyby nie respekt dla ławnika, pogadałby z nim po swojemu.

Spodziewał się tego faktor, bo trzymał się w przyzwoitej odległości od Rokity.

Robon, obejrzawszy woziwodę od czubka głowy, aż do stóp — zapytał:

— Mocny jesteś?

— Nie bardzo.

—Jakto nie bardzo? — wmieszał się Berek. — Onegdaj przewrócił jednym palcem murowany dom rabina w Rozdole.

— Dobrze, a kobiety lubisz? — pytał ławnik.

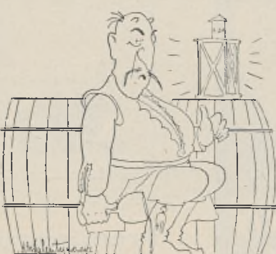
Rokicie aż zsiniała gęba z radości...

— On tak lubi — dogadywał faktor, — iż niema nawet czasu jeździć po wodę do Jordanu, lecz czerpie ją skąd popadnie, bo w drodze zatrzyma się zawsze u jakiejś kobiety.

— Łżesz! — krzyknął djabeł.

— Albo łżę, albo nie łżę, — odpowiedział Berek, odsuwając się dalej od rozsierdzonego Rokity, który zamierzał się już batem.

Robon nie zwrócił uwagi na ten dyskurs, albowiem pisał już list do Boruty i za wolą Lucypera rekomendował mu dzielnego pomocnika.



* * *

Aż za Mławę wysłał wojewoda kolasę, którą miał przybyć Rokita do Łęczycy.

Kusy oporządził jak się należy konie i uprząż, a sam ubrał paradny kubrak i nową czapę.

Punktualnie o dwunastej w nocy wylazł Rokita z dziury wedle krzywego mostu i cmoknął z zadowolenia, widząc tak świetny pojazd.

Początkowo pomyślał, iż sam wojewoda powozi końmi, więc zdjął nisko czapkę i nie śmiał przemówić pierwszy. Kusy zaś, trzymając czapę przy ziemi, trwał w milczeniu, aby nie uchybić służbie i nie odzywać się niepytany.

Po dłuższej dopiero chwili odezwał się Rokita:

— Dobrze pasieta konie, bo nie chcą ustać na miejscu — i, klepnąwszy Kusego po ramieniu, począł się gramolić na kozioł.

— Jaśnie panie, wygodniej będzie na tylnem siedzeniu — zagadnął woźnica.

— Wygodniej mówisz — odrzekł Rokita. — A cóż ty sobie myślisz, świńskie ucho, że na zad twój będę patrzał i kudły twoje liczył? Sam siadaj w tyle i daj lejce. Jak żyję, nie widziałem takich koni, chcę je wypróbować.

Kusy dziwił się mowie urzędnika, ale wiedząc, że panowie mają kaprysy, wlazł na tylne siedzenie, rozłożył się wygodnie na poduszkach i wdział wojewodzińską szubę.

Rokita zaś mówił.

— Dyszlowy psa wart, widzi mi się narowistym, a za tę parę na przodku nie oddałbym mej gniadej kobyły.

Co to za szkapa! Tylko jej szepnąć było do ucha, dokąd chcesz, a spać mogłeś wygodnie, gdyż nigdy nie chybiła drogi.

Nie tak jak twoje, przodkowie, których nie wolno spuszczać z oka, bo rozniosą taradajkę. Ho, ho, znam się, brachu, na szkapach i nie dam się zagadać!

To mówiąc, śmignął Rokita batem, a konie ruszyły, jak opętane.

Kusy, aż zamknął oczy i owinął się cały szubą, wiedząc, iż nic dobrego nie wypadnie z tej jazdy. Nie cieszyło go nawet, iż wszędzie po drodze kłaniali mu się djabli i ludzie, a niektórzy odzywali się z przekąsem:

— Patrzcieno, patrzcie, jak Kusy się panoszy. Wiadomo. Zausznik pański zawsze dochrapie się...

O uszy Kusego odbijały się te słowa, nie zastanawiał się jednak nad ich znaczeniem, gdyż każdej chwili spodziewał się skręcić kark.

Pędził już tak godzinę, a konie coraz sroższy brały impet, prześcigając ptaki w powietrzu i wiatry na wygonach.

Naraz — krach — pękło koło, a Kusy wyleciał, jak z procy.

Ponieważ przygotowany był na tę przygodę, więc wywinął trzy kozły i padł na miękką ziemię.

Gruba szuba ochroniła go od potłuczenia, mógł więc stanąć zaraz na równe nogi.

Wspaniały pojazd rozszarpywały szalone rumaki, tłukąc nim o wyrwy i kamienie, a nieszczęśliwy woźnica leżał półmartwy w rowie.

Krew zalewała mu twarz i ręce, a w palcach trzymał kawał zerwanych lejców i złamany bat. Kusy pożałował gościa, lecz większy żal było mu koni, które pędziły na zatracenie.

Puścił się pędem za niemi. Chociaż był djabłem, nie zdołał jednak dognać rumaków, albowiem nie były to zwyczajne konie, lecz krew miały w sobie piekielną, więc nie sposób było im nadążyć.

Kusy, ubiegłszy milę, zadyszał się potężnie i dał spokój dalszej gonitwie, wiedząc, iż jest daremna. Gdy wrócił na miejsce wypadku, Rokita siedział już na szkarpie i klął, aż w oczach brzydło.

Podnieść się jednak nie mógł, więc o pieszej podróży nie było mowy.

Siadły więc oba djabły przy drodze i jeden drugiemu przygadywał:

— Smoki macie nie konie i wozicie nimi gości, aby ich rozbijać po drodze, — rezonował Rokita,— trąc pazurami krzyże, które mu sprawiały ból.

— Jaśnie Pan zanadto ciął batem... — odpowiedział mu Kusy.

— Jak ciąć, to ciąć, a nie baraszkować! — ryczał gość z piekła. Gdybym cię tak zdzielił po zasmolonej gębie, napewnobyś nie otworzył paszczęki, aby mnie przekonać, że ja zawiniłem, a nie ten stary klekot, który nazywacie kolasą.

Umyślnie wybraliście spróchniałe koła, aby mi połamać kości. Nie udało się jednak, całe mam gnaty, choć trochę potłuczone.

— Jaśnie pan wąsko siedział na koźle...

— A cóż ty, pępku kosmaty, jesteś mamką moją, abyś mnie uczył, jak mam siadać, małoż to się nasiedziałem w kuczki na dyszlu, wożąc wodę do piekieł? — odpowiedział coraz gniewniej Rokita.

I długo tak byliby się przepierali, gdyby nie ukazał się na drodze szmaciarz.

Biedny miał wózek, a biedniejszego konia, więc choć Kusy doradzał, aby zaczekać na jakiegoś dziedzica, zwalić go z bryki i odjechać do Łęczycy, Rokita się uparł, iż nie chce innego pojazdu, gdyż kulawa szkapa bardzo mu się podobała.

* * *

Niezadowolony był Boruta z przybycia nowego urzędnika, który miał z nim podzielić władzę. Siedział więc smętny przy dzbanie i raz po raz pocierał czuprynę prawę ręką, u której brak było trzech palców.

Odrąbał mu jeden Kalina w pojedynku, gdy jako młody jeszcze djabeł zalecał się do jego żony.

Dawne to już czasy. Kamienie mchem porosły, rzeki pozmieniały koryta, a Boruta się postarzał i sam już nie może wydołać wszystkim obowiązkom.

Tym jednak razem zawiniła Ściborowa. Gdyby nie ona, poradziłby sobie z dwustu dziewkami jej fraucymeru, a tak co? — śmiech w piekle i nasłany przez Lucyfera pomocnik.

Niechby tę babę wprzód pochłonęła była ziemia, sto czartów miałoby z niej uciechę, a on jeden biedaczek jakoż miał tylu djabłów zakasować?

Już wypróżniał Boruta trzecią beczkę węgrzyna, a jeszcze nie zalał robaka.

Naraz wyjrzał przez okno i parsknął śmiechem.

Na dziedziniec wjeżdżał Rokita, a szelma Kusy wykrzykiwał całem gardłem:

— *Uważajcie, ludy, jedzie pan bogaty.*
Najpierw woził wodę, potem zbierał szmaty.
O jej!!!

Djabły hurmem wyległy na podwórze, aby przywitać gościa, który zastępować będzie wojewodę. Drżały im łydy ze strachu, lecz, gdy ujrzeli wyciągniętą na gnoju postać, otucha wstąpiła w ich serce, a marszałek Pronobis:

— Znieść go do chlewa i tam niech rezyduje!

Rokita, chociaż jeszcze cierpiący, podskoczył...

— Dokąd mam iść?

— Tam, gdzie się waści słusznie należy. W takiej przyodziewie i z takiemi obyczajami niczego nie zdziałasz w Polsce i na wstyd nas narażasz, więc łatwo wypłoszyć możesz tych, którzy do nas się garną.

— Do chlewa nie pójdę, ale pokażę wam, pańskie djabły, co mogę i jak sobie poradzę.

Odchodzę zaraz — i mówiąc te słowa, pokusztykał w pole i przepadł, wśród ludzkich chałup.

Śmiechem odprowadzały gościa łęczyckie djabły, drwiąc niemiłosiernie z jego grubych obyczajów, z mowy nieokrzesanej i gburowatych ruchów.

A Rokita nasunął czapkę na uszy i, klnąc obrzydliwie, oddalał się od czartowskiego gniazda, przysięgając, iż nigdy nie spojrzy w stronę Łęczycy. Boruta niby nie chwalił marszałka swego i służby za haniebny postępek z wysłannikiem piekła, ale uśmiechał się pod nosem, klepał djabłów po ramieniu i nie rzekł ani słowa, gdy bezecne psiarstwo upiło się tego wieczora do nieprzytomności.

Idzie Rokita i myśli:

— Cóżem to pies głupi lub niemrawa, abym sobie nie poradził na świecie i nie zakasował tych gałganów z Łęczycy...

Spojrzałem tylko przez okno i już wiem, jakie tam kapcaństwo.

Tyle wieków woziłem wodę, iż nie miałem czasu napatrzeć się elegantom i poznać ich zwyczajów. I kapota przez ten czas trochę wypłowiała, a czapa barania wytarła już na poły.

Tylko odmienię strój, a napewno rozkocham w sobie jakąś hrabinę, bom chłop na schwał i mogę się podobać.

Tak rozumując, dotarł do Zamościa.

Zdaleka już okrutnie spodobało się Rokicie to miasto, tem bardziej, że zasłyszał po drodze, iż mieszka w niem prześliczna hrabianka, z którą ro-



dzice mają niemało kłopotu, gdyż jest bardzo wybierna i odpala każdego konkurenta.

— Napewno mnie nie odrzuci, tylko się ustroję należycie, — mruknął djabeł i przyśpieszył kroku.

Do miasta jednak nie chciał wchodzić byle jak ubrany, przeto już na przedmieściu oglądać się począł za krawcem.

Co spotkał przechodnia, zapytywał:

— Jegomość, gdzie mieszka hrabski krawiec?

Jedni radzili mu iść do zamku, drudzy wedle kościoła, aż wreszcie trafił się przechodzień, który rzekł:

— Naco ma być hrabski, kiedy może być jeszcze lepszy...

— Prowadź, — skinął djabeł, a rudy Aron, podskakując na jednej nodze, zaprowadził go do swego szwagra, Mordki.

— Płacę gotówką, szyj ubranie!

Gdy przyszło do wyboru, Rokita zdecydował się na frak, gdyż słyszał, iż jest to ubiór najmodniejszy, a lepszym chciał być od djabłów łęczyckich, którzy noszą kontusze.

Do rana strój był już gotowy. Rokita wciągnął go na grzbiet i zapłacił, bo djabły różnią się tem od ludzi, iż nigdy nie robią długów i są rzetelni. Jeszcze trochę kłopotu było z pantoflami i kapeluszem, lecz Aron dostarczył wszystkiego.

— Teraz jestem hrabią! — wykrzyknął czart, wepchnął pazury w kieszenie od spodni i splunąwszy przez zęby na dziesięć sążni, wkroczył do Zamościa, aby odszukać hrabiankę.

Wiedział, iż nie należy rozgłaszać swych zamiarów, więc postanowił sam znaleźć pannę, bo osoba tej rangi i piękności nigdy ukryć się nie może.

Tydzień cały bawił w mieście, jadł, pił, spał i zaglądał od chałupy do chałupy, a gdy go pytano, czem się zajmuje, odpowiadał bez namysłu:

— Jestem hrabią!

Dla dodania sobie większego znaczenia, z byle kim nie wdawał się w gawędy.

Siódmego dnia stanął djabeł wedle rynku, zadarł nos do góry i spoglądał, kiedy się pojawi hrabianka.

Jakoż niedługo czekał.

Z kościoła walił tłum ludzi, a wśród ślicznych panien wypatrzył Rokita najśliczniejszą.

Zauważył nawet, iż uśmiechnęła się na jego widok, więc nie tracąc czasu, uszczypnął ją w podbródek i zawołał:

— Podobasz mi się.

Wymawiając zaś te słowa, pociągnął dziewczynę z całej siły i pocałował ją w usta raz i drugi.

Zaledwie jednak to uczynił, poczuł ból we łbie i w krzyżach, a ze wszystkich stron posypały się pałki, bębniąc po skórze djabła, jak po grochowinie.

— Co to jest! Co się dzieje? Hrabia jestem!

— Oszust, włóczęga, — wołali mieszczanie, a młocka na plecach nie ustawała.

Aż jeden z litościwszych, widząc, iż franta zakatrupią, przemówił do współbraci:

— A jeśli jest hrabią, zna parle france, a wtedy po rycersku odpowie za zniewagę mieszczańskiej dziewczyny.

Więc zaraz wysunął się z tłumu bakałarz Mroczek i podając djabłu książkę, odezwał się:

— Czytaj!

Rokita spojrzał na karty, a ponieważ nie znał się na piśmie, odpowiedział:

— Oczy mi zamroczyło i miesza się mi w głowie, gdy odsapnę, przeczytam wam zdołu, zgóry i napoprzek, bo nie sprawia mi to żadnej różnicy.

W głębi zaś duszy mamrotał:

— Słusznie mawiał Lucyfer:

— Okuć szelmę w dyby! — wołali mieszczanie,— a jeśli nie udowodni swego hrabiostwa, obwiesić go na rynku!

Założono djabłu łańcuchy na ręce, oraz na nogi i zawleczono go do lochu.

Rokita jednak nie byłby czartem, aby dał się dręczyć ludziom.

Skoro się uciszyło na rynku, zerwał okowy, wyważył drzwi i znalazł się na wolności.

— Hrabią być nie mogę — pomyślał — choć modny mam ubiór, ale nie umiem po francusku, natomiast zostanę szlachcicem i zamieszkam w pięknym dworze.

Dwa dni drogi za Zamościem ciągnęły się obszerne pola, mało jeszcze zamieszkałe, tam więc udał się Rokita, aby osiąść na stałe.

Upatrzył sobie wcale obszerny pagórek, wybudował dom, który przypominał kształtem psią budę, chociaż był znacznie obszerniejszy i naspędzał z okolicy chłopów, aby mu orali i obsiewali pole.

Skoro świt, gnał czart chłopów w pole, mało im dawał jadła i smalił batem, gdy ustawali w pracy.

Często srożył się Rokita nad pomyślenie.

Wszystko było mu złe, wszędzie coś znalazł nie po swej myśli i tak się sierdził, że piana wypływała mu na gębę.

Niewiadomo, jak długo znosiliby chłopi to ciemięstwo, gdyby nie Antoniowa.

Mąż jej, chociaż nie ułomek, aż stękał od trudu, a gdy noc przyszła, padał, niby kłoda na posłanie i żadna siła nie mogła go poruszyć. — Źle jest z chłopem, — podumała baba — ten czart go zamorduje.

Niedoczekanie jego!

I zmartwienie swe zwierzyła Sikorowej i Czubaczce, a obie te kobiety potwierdziły, iż z ich mężami tosamo się dzieje.

Rada w radę, postanowiono nauczyć djabła rozumu.

Nazajutrz rano wstał Rokita szczęśliwy i uśmiechnięty, do kobiet szczerzył zęby, a chłopów wesoło popędzał batem, iż zasapali się okrutnie.

A gdy słońce najjaśniej rozgrzewało, parząc aż do krwi ciało, omdlała szkapa u pługa.

— Babę zaprząc na jej miejsce — wołał djabeł i próbował zarzucić chomonto na Sikorową.

Cwana baba, niby pozwalała, niby wypraszała się od zaprzęgu, upatrywała jednak, aby djabeł się zagapił.

A gdy czart na chwilę stracił uwagę, zarzuciła mu kantar na pysk, ochełstała bestję i dzierżąc go silnie przy wędzidle, włożyła na łeb chomonto.

Nie opatrzył się nawet Rokita, gdy zaprzężono go do pługa.

Czubaczka z lewej strony, Sikorowa z prawej popędzały czarta miotłami, a Antoniowa trzymała pług za kijce, aby brał jaknajgłębszą skibę. Słońce już zaszło, a baby jeszcze orały w djabła, aż padł.

Gdy przyszedł do siebie, głęboko się zastanowił:

— Szlachcicem nie będę, psia to robota, wolę zostać chłopem.

Sam sobie ze wszystkiem dam radę i tyle obsieje, ile zjem.

Szedł więc djabeł trzy dni, aż zaszedł w bagna poleskie i upatrzył sobie piękną miejscowość i został Poleszukiem.

Na gospodarstwie jednak całkiem mu się nie wiodło. Posiał ziemniaki, a owies posadził i nic mu się nie urodziło.

— Lichą wybrałem ziemię, pójdę gdzieindziej.

Ludzie zaś nazwali zaraz Rokiciem to miejsce, w którem czart gospodarzył.

Trzysta lat mija, a djabeł szuka ciągle odpowiedniego dla siebie gospodarstwa.

Miał ich już bezliku, lecz na żadnem nie mógł wyjść na swoje.

Teraz darmo już ziemi dostać nie może, bo mało jej na świecie, chodzi więc po jarmarkach, wypytuje się i targuje, płaci wódkę i piwo, a gdy kupna nie ubije, mści się na chłopach.

Jednego wepchnie w bagno, innemu gnaty przetrąci w sprzeczce, są tacy, na których spuści taki tuman, iż błądzą po ostępach i nie mogą trafić do domu.

Niejednemu upuścił krwi lub zamroził.

Pańskich djabłów nie znosi, a gdy czasem go zagadną, wykręca się do nich zadem i takie brzydkie mówi słowa, iż lepiej nie słuchać...



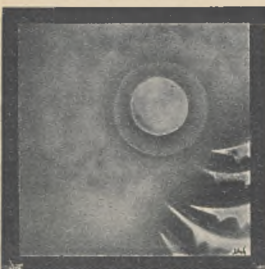



STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

WIGILJE ANDRZEJA ZAKLIKI

NAJKRÓTSZA POWIEŚĆ






Pierwsza niezapomniana. Małe miasteczko, otulone śniegiem, jak watą. Chodzi się po uliczkach drobnemi kroczkami. Ktoś wysoki i dobry prowadzi za rękę. Czuje się ogromne zaufanie do wszystkiego, ponieważ jest się bardzo maleńkim, a wszystko naokoło jest wielkie i wysokie. Wieczorem pędzi po czerwonej podłodze prawdziwy, brzęczący samochód. Mruży się oczy przed blaskiem. Później — niewiadomo, co było — a co się zdawało.

Wigilje następne. Zamknięte drzwi salonu. Wszyscy chodzą zaczerwienieni od zimna i radości. Po wychuchaniu dziury w zamarzniętej szybie, widać mnóstwo ludzi z paczkami. Potem trzeba pilnować, żeby nie zabrakło miejsca na kluski z makiem. Do mieszkania przyleciał malowany aniołek i niewygodnie usiadł na czubie choinki. Pod gałęziami można polować na cukierki i pierniki. Wszyscy śpiewają, a mamusia śpiewa najpiękniej. Strasznie przyjemnie dostać tyle zabawek, tylko przykre, że trzeba na następną wigilję czekać dlaczegoś aż cały rok.

Wigilja z ojcem. Mały Andrzej poraz pierwszy czuje, że kocha ojca. Zwykle idzie się do łóżka, kiedy tatuś wraca z miasta, a wstaje się wtedy, kiedy ojca już w domu niema. W domu jest ciągle tylko mamusia. Tatuś jakby się nie liczy: może być, może go nie być. Dziś mały Andrzej spędził z tatusiem cały dzień. Jest to zupełnie nowa rozkosz: być razem z mężczyzną. Rozmawia się poważnie, jakoś inaczej, niż z mamusią. Tatuś nie całuje i nie pieści do znudzenia, ale zato daleko mądrzej umie się bawić. Wszystko, co się znalazło pod drzewkiem, jest piękne, ale najlepszym prezentem jest tatuś. Andrzej patrzy przez cały wieczór w ojca, jak w gwiazdę — i czuje, że mamusia trochę jest niezadowolona z tego powodu.

Wigilja z matką. Niema śniegu i mrozu. Za oknami pada deszcz i pryska brudne błoto. Czarna sukienka matki jest poplamiona błotem. Do domu przychodzą listy w czarnych, żałobnych obwódkach. Przy dzieleniu się opłatkiem matka wybucha płaczem. Przed dawnem miejscem ojca stoi puste nakrycie. Choinka jest. Cóż z tego! Andrzej stoi w kącie pokoju i patrzy w świeczki, dopalające się późną nocą — jedna po drugiej. Potem pociesza mamusię — mimowoli takiem samem głaskaniem po ręku, jak to czynił ojciec. Potem udaje dobrą zabawę.

Wigilja z ludźmi. Są to wielkie uroczystości. Mnóstwo ludzi. Panienki ubrane na jasno. Jedne śmieją się, inne płaczą — z powodu głupiej wstążki, albo jeżeli pokazać im język. Trudno bawić się w takim tłumie, bo każdy chce czego innego. Chodzenie ze śpiewami naokoło drzewa po wielkiej sali z początku jest nudne i dziwne. Później jest weselej, bo już zna się wszystkich. Wracając z mamusią do domu, opowiada się wszystko pokolei. Mróz szczypie w policzki, a mamusia jest poraz pierwszy wesoła.

Wigilja dziwna. Tę wigilję urządza nie ktoś dla Andrzeja, lecz on urządza ją dla matki. Sam wybrał drzewko i ubrał je staremi zabawkami. Matki nie puścił do salonu — aż dopiero po wieczerzy, kiedy świeczki były zapalone. Pod drzewkiem leżał prezent: ciepłe rękawiczki, kupione z oszczędności własnych i lichtarz, własnoręcznie wycięty laubzegą. — Mój drogi opiekunie — powiedziała z dumą matka. Andrzej był bardzo dumny z siebie.

W szkole. Kilka wieczorów wigilijnych, zupełnie podobnych do siebie. Nawet prezenty te same. Andrzej dostał poraz trzeci z rzędu książkę „W pustyni i puszczy", a poraz drugi tornister. Są to dary od opiekunów i wychowawców. Mamusi niema — niema już dla kogo urządzać drzewka.

Wśród studentów. Jest ich kilku — bezrodzinnych — w tem obcem mieście. Zebrali się w pokoju Andrzeja Zakliki. Po wieczerzy była gorąca dyskusja. Potem przyszła właścicielka mieszkania i zaprosiła wszystkich na choinkę. Studenci bawili się z dziećmi tych prostych, poczciwych ludzi. Potem szli przez mroźne powietrze do migocących żółtemi blaskami wnętrz kościelnych. Modlili się — każdy po swojemu — o własny dom rodzinny. Dla nich wieczór wigilijny był jedną wielką tęsknotą, o której przez cały rok nie pamiętało się tak wyraźnie.

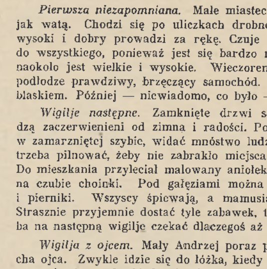
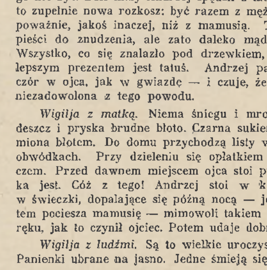
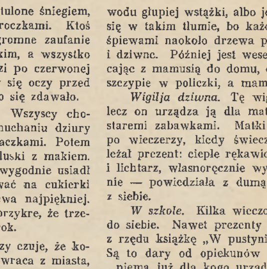
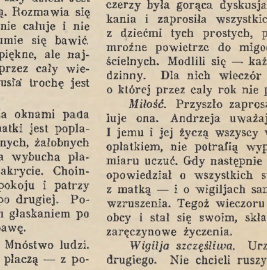
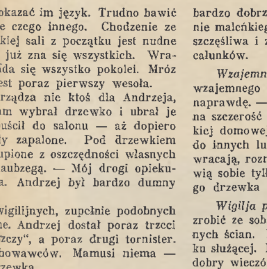
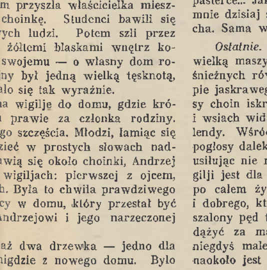
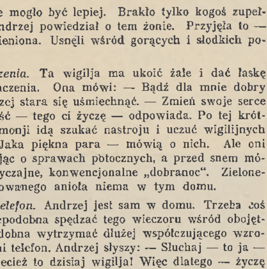
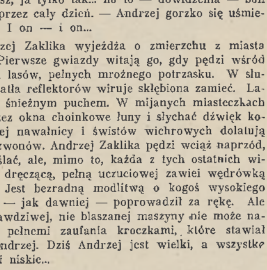
Miłość. Przyszło zaproszenie na wigilję do domu, gdzie króluje ona. Andrzeja uważają tam prawie za członka rodziny. I jemu i jej życzą wszyscy wielkiego szczęścia. Młodzi, łamiąc się opłatkiem, nie potrafią wypowiedzieć w prostych słowach nadmiaru uczuć. Gdy następnie inni bawią się około choinki, Andrzej opowiedział o wszystkich swoich wigiljach: pierwszej z ojcem, z matką — i o wigiljach samotnych. Była to chwila prawdziwego wzruszenia. Tegoż wieczoru wszyscy w domu, który przestał być obcy i stał się swoim, składali Andrzejowi i jego narzeczonej zaręczynowe życzenia.

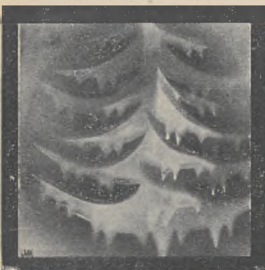
Wigilja szczęśliwa. Urządzili aż dwa drzewka — jedno dla drugiego. Nie chcieli ruszyć się nigdzie z nowego domu. Było bardzo dobrze. Nie mogło być lepiej. Brakło tylko kogoś zupełnie maleńkiego. Andrzej powiedział o tem żonie. Przyjęła to — szczęśliwa i zarumieniona. Usnęli wśród gorących i słodkich pocałunków.

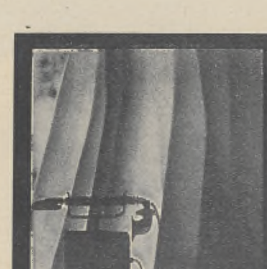
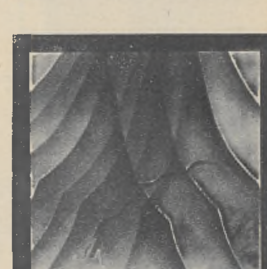
Wzajemne życzenia. Ta wigilja ma ukoić żale i dać łaskę wzajemnego przebaczenia. Ona mówi: — Bądź dla mnie dobry naprawdę. — Andrzej stara się uśmiechnąć. — Zmień swoje serce na szczerość i miłość — tego ci życzę — odpowiada. Po tej krótkiej domowej ceremonji idą szukać nastroju i uczuć wigilijnych do innych ludzi. Jaka piękna para — mówią o nich. Ale oni wracają, rozmawiając o sprawach potocznych, a przed snem mówią sobie tylko zwyczajne, konwencjonalne „dobranoc". Zielonego drzewka i malowanego anioła niema w tym domu.

Wigilja przez telefon. Andrzej jest sam w domu. Trzeba coś zrobić ze sobą. Niepodobna spędzać tego wieczoru wśród obojętnych ścian. Niepodobna wytrzymać dłużej współczującego wzroku służącej. Dzwoni telefon. Andrzej słyszy: — Słuchaj — to ja — dobry wieczór! Przecież to dzisiaj wigilja! Więc dlatego — życzę ci wszystkiego najlepszego. Niech ci będzie dobrze. A może ci źle — bo gdybyś chciał — to przyjdź do kościoła — będę na pasterce... Jak chcesz, ja tylko tak... no to — dowidzenia — boli mnie dzisiaj serce przez cały dzień. — Andrzej gorzko się uśmiecha. Sama winna... I on — i on...

Ostatnie. Andrzej Zaklika wyjeżdża o zmierzchu z miasta wielką maszyną. Pierwsze gwiazdy witają go, gdy pędzi wśród śnieżnych równin i lasów, pełnych mroźnego potrzasku. W słupie jaskrawego światła reflektorów wiruje skłębiona zamieć. Lasy choin iskrzą się śnieżnym puchem. W mijanych miasteczkach i wsiach widać przez okna choinkowe łuny i słychać dźwięk kolendy. Wśród białej nawałnicy i świstów wichrowych dolatują pogłosy dalekich dzwonów. Andrzej Zaklika pędzi wciąż naprzód, usiłując nie rozmyślać, ale, mimo to, każda z tych ostatnich wigilji jest dla niego dręczącą, pełną uczuciowej zawiei wędrówką po całem życiu. Jest bezradną modlitwą o kogoś wysokiego i dobrego, któryby — jak dawniej — poprowadził za rękę. Ale szalony pęd tej prawdziwej, nie blaszanej maszyny nie może nadążyć za malemi, pełnemi zaufania kroczkami, które stawiał niegdyś maleńki Andrzej. Dziś Andrzej jest wielki, a wszystko naokoło jest małe i niskie...

Ilustrował M. Walentynowicz.



W KRAINIE MAHARADŻÓW

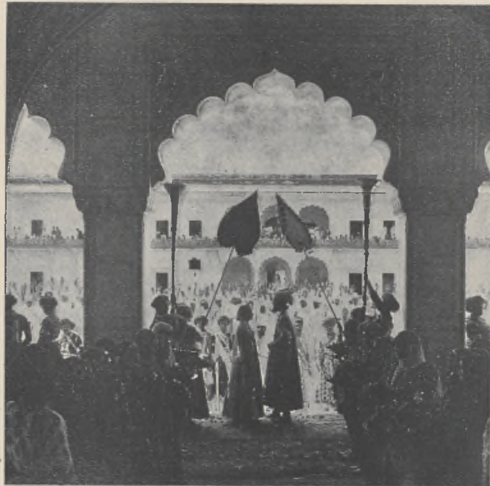
BIKANER — MIASTO TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

W drodze do Bikaner zdarzyła mi się przygoda samotnego pielgrzyma, tak bardzo ceniona przez autorów opowieści arabskich. Po długiej, ciężkiej podróży, kiedy, zmęczony widokiem pustyni Raszputany, zamknąłem się w dusznym wagonie kolei wąskotorowej, obudził mię mój wierny Madrassi:

— *Sahib!... Sahib!...* Pałac maharadży!

Spojrzałem przez okno. Na końcu rozległej równiny wznosił się między drzewami gmach fantastyczny: kopuły kolumn i wieżyczki dachów unowspółcześnie, jest cudem stylu indo-arabskiego. Jego właściciel jest jednym z najbardziej gościnnych książąt panujących Indyj i doskonałym myśliwym. Niedawno temu obchodził właśnie swego stoczterdziestego tygrysa.

Maharadża z Bikaner postąpił bardzo mądrze, odnawiając w swej rezydencji piękność starego fortu, panującego nad okolicą, w którym mieszkali niegdyś jego przodkowie. Sala *durbar*, podwórza z arabskiemi kolumnami, w których gnieżdżą się tysiące perłowo-szarych gołębi, oraz sala tronowa czynią ze starego pałacu, zbudowanego około roku 1470, jedno z najpiękniejszych widowisk Raszputany.



Na dworze Maharadży Bikaneru (Warszawska K. S. A.).

siły się w górę, panując nad obfitą zielenią parku, powstałego — niewiadomo jakim cudem — na ziemi, wrogiej roślinności. Zachodzące słońce ożywiło różem martwą barwę kamieni, potęgując świetność królewskiej rezydencji. Zaskoczony, podziwiałem ją.

Kolejka skręciła na zachód i nagle zobaczyłem Bikaner, miasto o nierealnej wprost piękności, otoczone różowemi murami, ozdobione różowemi pałacami, naszpikowane różowemi domami.

Nie żałowałem już ani nocy, spędzonej w poczekalni, pełnej Pendżabów różnokolorowych, ani mego *breakfast'u*, który służył chyba jako pułapka na wszystkie muchy okolicy, ani kurzu, który mię obielił, że wyglądałem jak jakiś *abbé* z osiemnastego stulecia... Przyjechałbym na garbie wielbłąda, lub na wrotkach, ażeby tylko zobaczyć Bikaner.

Lallgarh, pałac maharadży, choć urządzony

Dziedzic z Bikaner jest wielkim łowcą dzikich zwierząt. Gdy znudzi mu się strzelanie do tygrysów w Nepalu, to poluje na antylopy, kryjące się w gąszczach jego państwa. Był nawet na tyle uprzejmy, że chciał mię zaznajomić z tajemnicami tego zabawnego sportu.

Bawiliśmy właśnie w pałacu Gajner, jego letniej rezydencji, które również jest swego rodzaju cudem: różowy marmur odbija się tam w błękitnem lustrze małego jeziora, otoczonego fantastycznie kolorowemi drzewami. Książę zapytał:

— Czy polowanie w aucie na czarną antylopę sprawiłoby panu przyjemność?

— Jakto? Pojechać autem na miejsce polowania?

— Nie! Pozostać w samochodzie i strzelać podczas najszybszej jazdy... Sądzę, że to bardziej zabawne!

Nazajutrz pojechaliśmy w stronę Hanumangarhu. Mieliśmy ze sobą naszą broń, t. zn. dwa dalekonośne karabinki, skrzynkę z nabojami i amerykański odkryty samochód. Przy kierownicy siedział maharadża.

Przejechaliśmy kilkanaście mil po gładkiej, prostej szosie, poczem wjechaliśmy w gąszcze, pełne ukrytych wyboi, zdradliwych kęp i mizernych krzewów.

— Tędy chce pan przejechać?—zapytałem zdumiony. — Przecież to pejzaż iście księżycowy: przedziurawiony wybojami jak sito.

— Oczywiście!... A teraz proszę uważać i dobrze celować!...

— Humor Waszej Wysokości podoba mi się... Dobrze mierzyć z auta, posuwającego się po takim terenie?... To mniej więcej tak, jakby ktoś zaproponował Paderewskiemu zagrać Drugą Rapsodję na katarynce jarmarcznej w Neuilly.

— Uwaga!... *Black buck* na lewo!...

Spojrzałem. Po lewej stronie auta uciekały przed nami czarne antylopy. Podnoszę się. Celuję. Muszka na mej lufie tańczy, jakby miała chorobę św. Wita. Raz widzę jakąś kępę asfodelów, to znowu jakiś urojony na horyzoncie punkcik.

— Proszę zwolnić! — wołam.

— Niema pan racji, — odpowiada maharadża,— antylopy uciekną nam... Zwiększam szybkość...

Auto wpada w jakiś piaszczysty dół, a ja zkolei wpadam zpowrotem w głąb auta. Szybko podnoszę się znowu i chwytam za karabin, który omal nie wyślizgnął się z wozu. Znowu ścigamy antylopy, podskakujące w odległości 80 metrów od auta. Strzelam. I trafiam w kamyk, tuż przed kołem. Znowu strzelam; ponieważ jednak mój sąsiad, chcąc ominąć jakąś kępę, skręca gwałtownie na lewo, strzał mój i tym razem pozostaje bez rezultatów.

Maharadża radzi mi grzecznie:

— Niech pan nie celuje przypadkiem w radjator... nie moglibyśmy wrócić....

Pościg trwa dalej. Puszcza tańczy. Antylopy skaczą. Resory skrzypią... Maharadża się śmieje. Pięćdziesiąt na godzinę... Trzeba strzelać, albo zniesławić się... Strzelam. Znowu jeden strzał bez rezultatu. I zdaje mi się, że jeśli karabin mój poniósłby tak daleko, jedna kula spadłaby na Himalaje, druga na Ceylon!

— Czy chce pan mitraljezy? — zapytuje mój maharadża.

Budzi się we mnie ambicja. Lecz ku wielkiemu memu zdziwieniu maharadża zatrzymuje auto. Rozczarowany, powiadam:

— Wasza Wysokość rezygnuję?... Strzelam bardzo źle, to prawda....

— Wcale nie dlatego. Przerywam, bo wystrzelił pan zaledwie cztery razy, a ścigamy je już ponad pięć mil... Gdybyśmy kontynuowali, antylopy padłyby wyczerpane. Ale to byłoby rzeźnictwem, a nie sportem. Zasada gry jest zabić antylopę zapomocą trzech kul na przestrzeni pięciu mil. Gdy jej żadna z kul myśliwego nie dosięgnie, daruje jej się życie... Zresztą, niech pan nie rozpacza. Najlepsi strzelcy trafiają w automobilu najwyżej trzydzieści antylop na sto. Jest to potroszę hazardowna gra.

Przemknęło inne stado i polowanie rozpoczęło się znowu. Tym razem ubiłem piękną antylopę z kręteml rogami, długiemi około pięćdziesięciu centymetrów. Honor mój był uratowany. Wracając z naszemi trofeami do pałacu, mówiliśmy o poważniejszych rzeczach. Maharadża wtajemniczał mię w rządy małego państwa.

— Natura obeszła się ze mną po macoszemu, dając mi terytorjum z dużemi obszarami pustynnemi i długie sezony posuchy, trwające niekiedy kilka lat. Posiadam 35.000 klm. kwadratowych, 660.000 mieszkańców i małą armję, złożoną z 2.400 ludzi i 1.200 wielbłądów. Rządzę przy pomocy mych ministrów i Zgromadzenia prawodawczego złożonego z 35 członków...

— Którego rezolucje są czysto platoniczne? — przerwałem.

— Nie. Na 50 wniosków zgromadzenia zostało ostatnio odrzuconych przez mój rząd zaledwie 5,— a votum ufności głosowano tam dwadzieścia razy.

— A więc Wasza Wysokość nie jest ani dyktatorem ani tyranem!

— W gruncie rzeczy zajmuję się tylko dwiema sprawami: podnieść w mojem państwie wartość ziemi, co tem samem podnosi bogactwo mych poddanych; udaje mi się to zapomocą systematycznego przeprowadzania przez kraj obfitej sieci drenów, użyźniających glebę. Drugą sprawą jest rozwój hygjeny i czuwanie nad zdrowiem publicznem w mym kraju.

Program maharadży, zasługujący ze wszech miar na pochwałę, stoi w jawnej sprzeczności z pogłoskami, rozsiewanemi przez niektórych Indo-Anglików, którzy mówili mi:

— Zobaczy pan. Książęta indyjscy nie troszczą się o dobro swych krajów, lub poddanych... Pięćset miljonów pereł, zamkniętych w skrzyniach, pięćdziesiąt samochodów w garażu i głód u chłopów— oto ich rządy!

Pesymizm mocno przesadzony. Życie chłopa hinduskiego nie jest, oczywiście, wymarzone, lecz polepszenie jego bytu wymaga dużo czasu, wysiłków i kapitału. Fakt, że kwestją tą zajmuje się większość książąt panujących, jest już objawem pocieszającym.

— W jakim stosunku znajduje się prywatna lista maharadży do budżetu jego państewka? — zapytałem raz ministra finasnów.

— Nasze dochody i nasze wydatki obracają się dokoła 100 miljonów franków. Lista prywatna maharadży opiewa na 12 procent, a więc na 12 miljonów na sto...

— Znaczy to, że w państwie tak wielkiem, jak np. Francja, lista cywilna prezydenta Rzeczypospolitej powinna wynosić około 5 miljardów rocznie?

— To nie to samo!...

Mój miły rozmówca miał rację. Gaston Doumergue, prezydent Republiki Francuskiej, nie jest zobowiązany asystować przy zebraniu Izby z trzema kilogramami szmaragdów dookoła swej szyi.

(C. d. n.).

J. J. RENAUD 9)

CZARNA SZPILKA

(Copyright by „7 DNI").

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda opryszków, dowodzona przez tajemniczego przywódcę „Heblis", jest prześladowaną przez policjanta-amatora Barnèza, któremu zamordowano ojca. Barnèze również broni p. Lucyny Mouriade, prześladowanej przez Heblis. Lucyna zostaje porwana przez opryszków, jednak Barnèze ją ratuje. Wynajmuje jej nowe mieszkanie dla zmylenia śladów. Heblis odkrywa mieszkanie Lucyny, organizuje, na szczęście nieudany zamach. Następnie porywa Lucynę podstępem i zwabia do siebie Barnèze'a. Barnèzowi jednak udaje się wyrwać podstępem. Udaje się na ulicę Rembrandt'a, by odwiedzić Darbelassa. W pewnym momencie wpada przypadkiem w ślad Heblis i udaje sie do Prefektury.

Nie obchodzono się z panią źle.. Miała pani co jeść, pić i palić... Było to wczoraj... A czy pani wie, gdzie się pani znajduje od wczoraj?... U mego najgorszego wroga, pana Darbelasse!... U tego samego Darbelasse'a, o którym pani opowiadał ten kochany Barnèze... Tak!... Została zorganizowana straż, czuwająca nad jego bezpieczeństwem... Cały kordon policji otacza ten dom... Cała służba w domu jest uzbrojona i strażuje... A tymczasem Darbelasse zniknął... Na jego miejscu zaś ja jestem, Heblis!... No i co warta policja!... Co jest wart pani Barnèze!... Gdzież jest Darbelasse!... Cóż oni wszyscy znaczą wobec mnie jednego?!...

— To jeszcze nie koniec!... — odpowiedziała Lucyna...

W tej chwili, twarz Heblisa, dotychczas szatańsko uśmiechnięta, zmieniła się, przybierając wyraz brutalny.

— W tym wypadku zbliża się kres pani życia!... Proszę!... Oto są plany wynalazku pani męża!... Niech pani się im przypatrzy po raz ostatni... Ponieważ zbliża się pani przeznaczenie: za chwilę zostanie pani związana i zakneblowana... Zawiodę panią do tej samej taksówki, którą pani tutaj przyjechała... Gdzieś, w jakiejś pustej i ciemnej aleji, zastrzykną pani gram kokainy... Jest to doza śmiertelna!... wstrzymanie działalności serca, śmierć momentalna i bez boleści... jestem człowiekiem ogromnie humanitarnym... W końcu ułożą panią na ławce, a do torebki włożą szpryckę Pravaza i kilka ampułek z kokainą... Raport komisarza policji objaśni wszystkim, że piękna Lucyna Mouriade zażywała narkotyk i nadużyła go!... W Paryżu często zdarzają się takie wypadki!... Nagłe skony, pod wpływem „koksu" są teraz w modzie... Około dziesięciu tygodniowo!... A więc, droga pani, musimy się pożegnać!... Moi ludzie czekają na dole!... Zaraz ich zawołam, ażeby wykonali powierzone sobie zadanie... Oczywiście będzie pani się zachowywać spokojnie!... Żadnych krzyków, żadnych awantur i opierania się!.. Nic to pani nie pomoże... Przeciwnie, popsuje pani ostatnie chwile pobytu na tym świecie!...

Heblis perorował z namaszczeniem... Jego tyrada miała pozory przemowy szaleńca...

Lucyna poczuła, że żadna siła ludzka nie jest w stanie ją uratować!... Przed jej oczami stanęło całe dzieciństwo, małżeństwo, pobyt w Anglji, później Deauville, zjawienie się Barnèze'a..

Barnèze!... do ostatniej chwili będzie o nim myśleć... Umrze z jego imieniem na ustach!...

—Mam jeszcze dużo roboty przed sobą!... Muszę się zająć sprawami tego głupca Darbelasse'a!... Do tej chwili jeszcze myśli, że pomoc policji obroni go przed Heblis!... Cóż to za idjota!... A następnie muszę się zająć uśmierceniem Barnèze'a, który mi umknął, oraz jego pomocnika, niejakiego Merlot!... Niech mi pani wybaczy, że przerywam naszą rozmowę... I niech mi pani pozwoli wręczyć sobie w podarunku tę czarną szpilkę!... Trudno!... Takie już mam przyzwyczajenie... Oto wpinam ją pani w rękaw sukni... W przeciągu kwadransa, będzie pani miała szczęście poznać wielką tajemnicę, która jest powodem sporów tylu religji i filozofów!... Składam pani moje ostatnie, serdeczne pożegnanie!...

Wygłosiwszy to szydercze przemówienie, Heblis, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

W kilka chwil potem rozległy się kroki za drzwiami. Do pokoju wszedł kulawy służący z czarną opaską na jednem oku.

— Pan mnie wzywał? — wyszeplenił...

— Zawołaj moich ludzi, tutaj, na górę!... A tutaj masz ampułki i szprycę Pravaza... Największa z tych ampułek należy do wyłącznego użytku pani...

Kulas podszedł do Heblis, ale zamiast wziąć wręczane mu przedmioty, schwycił go za ręce przyparł do muru, poczem zdarł mu perukę, fałszywe wąsy i pomimo wściekłej jego obrony zręcznie mu założył ręczne kajdanki...

Podczas tej dziwnej sceny do gabinetu wpadł szef policji kryminalnej na czele tłumu agentów... Skamienieli!... Ujrzeli lokaja, który trzymał w swych ramionach jakiegoś draba o oliwkowej cerze, którego rysy twarzy przypomniały pana Darbelasse...

— Nareszcie wpadłeś we własne sidła! — wykrzyknął fałszywy lokaj głosem Barnèze'a...

Poczem szybko zerwał z głowy przyprawioną perukę, z twarzy przylepione baczki i zdjął z siebie marynarkę lokaja...

— Twój kamerdyner leży na dole związany i zakneblowany... Pokonałem go podstępem, pozorując swoje przybycie doręczeniem listu dla ciebie... Potem, postarałem się trochę upodobnić do niego i wyręczyć w usługiwaniu tobie: widzę na twoim biurku dwa rewolwery!... Prawdopodobnie były przygotowane na wszelką ewentualność!... Miały zapewne służyć do pozbawienia życia tej pani i do obrony!...

Darbelasse zdawał się przychodzić do przytomności... Przyglądał się policjantom ze wzrastającem zdziwieniem... Zaczął pocierać dłonią czoło, jakgdyby usiłując rozwiązać dręczącą go zagadkę, czy też chcąc sobie coś przypomnieć... Po chwili wykrzyknął:

— Jakto... Heblis... to ja mam nim być!... Ja, Darbelasse?... To jakaś pomyłka!... To rzecz niemożliwa!.. Przecież Heblis mnie prześladuje... Heblis chce mnie zabić... Przysłał mi czarną szpilkę... I to ja mam nim być?... Ależ to jest śmieszne!... Ha, ha, ha!...

Darbelasse wybuchnął śmiechem... długim, nerwowym, strasznym... Zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, poczem śmiał się dalej... Twarz jego pomimo śmiechu wyglądała potwornie... Nie miała nic wspólnego z wesołością...

W śmiechu tym czuć było szaleństwo, szaleństwo, które zwykle poprzedza ogólny paraliż...

W dwa miesiące później, Darbelasse umarł w osobnej celi zakładu dla obłąkanych, w kaftanie furjatów...

. . . .

— Kiedy wsiadłam do taksówki, ujrzałam wewnątrz siedzącego mężczyznę, który pociągnął mnie do środka i przyłożył do ust i do nosa chustkę przepojoną chloroformem. Skoro przyszłam do siebie, znajdowałam się wówczas w jakimś ciemnym pokoju, przypominającym więzienie. Byłam przywiązana do fotelu. Pilnujący mnie drab oznajmił mi ze śmiechem, że wkrótce będę przewieziona do ładniejszego mieszkania przy *rue Rembrandt*. Zaczęłam myśleć o sposobie zawiadomienia pana o miejscu mojego pobytu... Poprosiłam o papierosa... Nie odmówiono mi... Na stole, przy którym siedziałam, leżało parę kawałków papieru... Postanowiłam je wykorzystać, tembardziej, że jakkolwiek byłam przywiązana do fotelu, ręce moje były nawpół wolne. W pewnej chwili zostałam sama w pokoju... Wykorzystałam to, pisząc na papierze pański adres... Napisałam go zwęglonym końcem zapałki... Chciałam później napisać na odwrocie dokładny adres, dokąd mnie mają zawieźć, ale wszedł mój dozorca... Nie chcąc wzbudzić w nim podejrzeń, zaczęłam kreślić po papierze rozmaite znaki... Następnie na tym kawałku papieru, na którym napisałam pański adres narysowałm koło, a wewnątrz napisałam słowo *noc*... W ten sposób chciałam, przy pomocy tego zaimprowizowanego rebusu, podać tytuł obrazu *„a la Ronde de Nuit"*, jednego z najsłynniejszych obrazów Rembrandta... Pan Darbelasse mieszka na *rue Rembrandt*... To słowo otoczone kółkiem, niemogło wzbudzić żadnych podejrzeń w pilnującym mnie drabie... Mógł myśleć, że jest to jeden z tych rysunków, które się robi bezmyślnie... W jakiś czas potem, zaprowadzono mnie do auta, którym mnie porwano poprzednio... Kiedy jechaliśmy przez *Champs Elysées*, coś autem wstrząsnęło... Wtedy oparłam się ręką o napół przymknięte okno i upuściłam napisany do pana list... Wprowadzono mnie do tego mieszkania przez rodzaj tunelu...

— Który łączy się z piwnicą niezamieszkałego domu przy ulicy Murillo... Już odkryliśmy to tajemne przejście... Przez nie wydostawał się Darbelasse, ucharakteryzowany do niepoznania na Heblisa... Jego umiejętność przemiany w inną osobowość była zdumiewająca; znaleźliśmy flaszkę z płynem, przy pomocy którego zmieniał barwę cery... Szaleńcy są prawdziwymi mistrzami, których zdolności nie powstydziłby się pierwszorzędny aktor; przy pomocy swej okropnej, szaleńczej logiki i konsekwentnego postępowania, do najdrobniejszego szczegółu, sugerują innym, dowolnie przez siebie wybraną rolę...

— Ale dlaczegóż Darbelasse czynił z siebie ofiarę napaści Heblisa, kiedy sam nim był?...

— Prawdopodobnie poto, ażeby być poza wszelkiemi podejrzeniami... A może dlatego, że pędził podwójne życie i będąc w danej chwili w skórze Heblisa, zapominał o tem, że jest Darbelassem i odwrotnie... Tego rodzaju wypadki rozdwojenia osobowości nie są rzadkie... Dlatego sam siebie prześladował... Na własny rozkaz, kazał strzelać do mieszkania Darbelasse'a, jak również podrzucić zatrute cygaro... Wszystko to oczywiście wprowadzało w błąd policję i myliło ślady...

— To bardzo możliwe... Nierozumiem tylko, jaką rolę w tem wszystkiem grała czarna szpilka?...

— Szpilka ta, jak pani zresztą wiadomo, wyobraża boginię śmierci, Kali... Specjalnej roli nieodgrywała... Ot, była poprostu jedną z fantazji zbrodniarza...

— Ojciec mój jest nareszcie pomszczony... Pani plany odzyskuje spowrotem... Oto leżą na tym stole... W dniu dzisiejszym porzucam prefekturę, do której wstąpiłem li tylko dla dokonania zemsty... Ostatni akt tragedji dobiega ku końcowi... Czy pani nieuważa, że odtąd moje i pani życie winno być bardziej jasne i szczęśliwe?...

Lucyna uścisnęła Barnèze'a za rękę:

— Ma pan najzupełniejszą słuszność.

...Jednak musieli nieoczekiwanie przetrwać, jedną jeszcze próbę!

. . . .

Steamer *Maid of Orleans*, utrzymujący stałą komunikację pomiędzy Calais i Douvres dzielnie walczył z niespokojnemi falami kanału. Barnèze, który nawet podczas najpiękniejszej pogody cierpiał na chorobę morską, leżał na wąskiem łóżku kabiny. Lucyna, od dwóch dni jego szczęśliwa małżonka, siedziała na pokładzie, w pobliżu otwartych drzwi do kabiny; patrzyła się w stronę szarzejącego w dali przylądka *Gris-Nez*. Rzucała ostatnie pożegnania ginącej na horyzoncie ziemi francuskiej i witała z radością białe wydmy Douvru, które wyłaniały się na północo-zachodzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Tajemniczy Europejczyk

(Bazyli Zacharow — król zbrojeń i ruletу).

Wiele się słyszy o różnych potentatach finansowych w rodzaju Forda, Morgana, Rockefellera, Cotty'ego — ale nazwisko Bazylego Zachorowa jakoś rzadziej obija się o uszy przeciętnego czytelnika. Zanim stanął u szczytu sławy, zanim zdobył bajeczną fortunę, którą sam dziś oblicza na cztery miljardy franków, był zwykłym śmiertelnikiem, którego kapryśny tylko los wyróżnił z pośród miljonów podobnych mu rówieśników. Zwyczajny picolo w jednym z hoteli w Patrasie miał jednak giętki i lotny umysł i niezwykły spryt, a choć płynęła w nim bułgarska krew, ten syn biednego weksiarza z Galaty miał w sobie coś z greka i coś z żyda zarazem.

Przypadkowi zawdzięcza swą fortunę. Bo oto pewnego razu, gdy oprowadzał po Konstantynopolu, jak to codziennie czynił cudzoziemców, trafił mu się anglik, przedstawiciel fabryki broni „Vickers and Maxim". Nawiązał z nim rozmowę i dowiedziawszy się, że anglikowi chodzi o pośredniczenie w sprawie dostawy broni dla dworu sułtana — zaproponował mu odrazu swą pomoc. Ta bezczelna i śmiała próba wypadła ponad wszelkie spodziewanie. Po tym sukcesie, wiąże się na stałe z agentem firmy, objeżdża wszystkie kraje Europy, kierując swe kroki wprost do hrabiowskich zamków i książęcych pałaców. Już oto pozyskał rosyjskiego ministra wojny, już zdobył wielkie zamówienie dla firmy „Vickers and Maxim", że ta odrazu powierza mu oficjalne przedstawicielstwo. Dawny bułgar Zacharias przedzierzga się natychmiast w Zacharowa, a że jest piękny i wytworny otwierają się przed nim wszystkie arystokratyczne salony. Już ułatwił głównemu akcjonarjuszowi firmy wstęp bezpośredni do carskiego dworu, już miljoner angielski traktuje go kordjalnie i po przyjacielsku. Sukcesy jeden po drugim. A gdy nagle umarł dyrektor angielskiej firmy, któżby jak nie Zacharow obejmie po nim kierownictwo. Z biegiem czasu toczy się i wyolbrzymia coraz większa sława i fortuna byłego „picola" z Patrasu.

Działalność rozpoczyna wprost bezprzykładną; zalewa karabinami i armatami nietylko Europę, ale również kraje zamorskie. Nasycił już Austrję, Serbję, Bułgarję, Grecję — swoją przybraną ojczyznę i swego wroga — Turcję.

W południowej Ameryce zaczyna osobiście „robić politykę" własnego interesu. Podżega jedne państwa przeciwko drugim, przeprowadza mistrzowskie intrygi, robi tam, słowem, drugi „kocioł bałkański", a przytem najpilniej zbiera zamówienia... Nikt jak on nie potrafi tak upiec pieczeni na ogniu wiecznej nienawiści południowo-amerykańskich krajów.



Bazyli Zacharow — król zbrojeń i rulety.

W przeczuciu zbliżającej się dziejowej burzy 1914 r. piekielny ten i niewstrzymywany w swym rozpędzie dyrektor firmy „Vickers and Maxim" zdołał już przygotować nowy kolosalny transport amunicji. Dla kogo? Odbiorcą miały być późniejsze „Central-Mächte", skonsolidowane w czasie wojny „Państwa Centralne", że jednak nie były one w stanie przyjąć całości, odkupił resztę rząd angielski.

Wpływ jego sięga już tak daleko, że poważnie liczą się z nim ci wszyscy, którzy mają w swych rękach losy świata i decydują o jego przeobrażeniu. Zacharow jest już potęgą wszechświatową. Finansuje przeszło dwadzieścia dzienników w całej Europie, z tych kilka w samym Paryżu. Ani to król żaden, ani książę, a przecież z królewskim przyjmują go honorem wszędzie, gdzie się tylko zjawi. Czy to będzie pałac Buckingham, dokąd król Jerzy V gościnnie go zaprasza, obdarzając tytułem Sir, czy też później w latach wojny front francuski,— wszędzie kroczy swobodnie z miną władczą, ten komandor Orderu Łaźni i wysoki oficer Legji Honorowej.

Na szachownicy świata finansowewego jest dziś jedną z najgłówniejszych figur, angażuje się również politycznie i to nie byle jak. Oto sam decyduje o wysłaniu greckiej ekspedycji wojskowej do Azji Mniejszej przeciw Turkom i rzecz nie do wiary: — sam koszty jej pokrywa. Operacja ta kosztowała go przeszło *dwadzieścia miljonów dolarów*, ale nie należy zapominać, że majątek jego przerasta cztery miljardy franków.

Stary ten, dziś schorzały człowiek, w osamotnieniu kończy swój bujny żywot. Spotykają go od czasu do czasu tylko ci, co odwiedzają Monte Carlo, dokąd, jako główny akcjonarjusz domu gry przybywa parę razy do roku.

Artykuł niniejszy jest właśnie poświęcony opisaniu, jak człowiek ten, nazwany tajemniczym europejczykiem, doszedł do posiadania udziału w światowej spelunce.

* * *

Zdala od zwykłych interesów Zacharowa: jego wyczynów zbrojeniowych, zakładania banków i skupywania udziałów naftowych, stoi opanowanie przezeń kasyna gry w Monte-Carlo. Nie jest to wprawdzie największe, ale zato najbardziej intratne i spokojne z jego przedsięwzięć.



Kasyno gry w Monte-Carlo, którego głównym akcjonarjuszem jest Bazyli Zacharow.

Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby Alfred Krupp, jak i Zacharow, entuzjastyczny miłośnik Riviery, utrwalił tę miłość do lazurowego wybrzeża, natychmiastowem zakupnem kasyna gry. Równie niemożliwą jest myśl, aby William Armstrong, czy Tomasz Vickers zajmowali się na uboczu finansowaniem ruletki i bakarata. Przemysł zbrojeniowy jest zajęciem szczególnego rodzaju; ma on osobliwe metody prowadzenia wielkich interesów, związany jest z najbardziej dziwacznemi politycznemi machinacjami, a zyski czerpie z najsmutniejszych okresów historji świata. Armaty i stoły gry, pancerniki i lśniące salony kasyna: nie daje się to zbyt łatwo pogodzić! Wielcy przedsiębiorcy ciężkiego przemysłu nie odczuwają już tempa pracy swych fabryk. Współczesnym koncernem stalowym można kierować również dobrze z Nicei, jak z Shefield, czy Essen. Jednak skok od przemysłowca zbrojeniowego do organizatora kasyna w Monte-Carlo zdaje się być zbyt niesamowity. Bankier nie może we dnie finansować wojny, wieczorem zaś domu gry. Kapitał z natury swej skłonny jest do wędrówki; podąża tam, gdzie widzi największy zysk. Lecz w możliwościach jego wyzyskania bywają rozmaite niuanse i właśnie takiemi odchyleniami różni się Zacharof od innych wielkich kapitalistów naszych czasów.

Sposób, w jaki opanował Monte-Carlo, jest zbliżony do zwykłych sposobów zdobywania nowych źródeł zysku. Sir Basil Zacharow nie zdobywa fortuny w salonach gry. Spekulacje hazardowe gracza, oparte na przypuszczeniu, że kulka czy karta padnie właściwie, nie wabią zbytnio wielkiego spekulanta. Tak bezmyślne małe, a przedewszystkiem tam marne interesa, pozostawia Zacharow innym. Nonsensem byłaby strata czasu na sztukmistrzowskie obliczenia, dzięki którym „rozważni" i „rozsądni" gracze systematycznie przegrywają majątki. Dopóki jednak istnieją ludzie, zasiadający, z rozwagą czy bez niej, do stołu gry, utrzymywanie banku jest pewnym i dobrym interesem.

Lecz i bank w Monte-Carlo może być rozbity. Przy bliższem rozpatrzeniu okazuje się jednak, że jest to tylko dziecinny postrach, a raczej trick reklamowy, którego celem jest zademonstrowanie graczom, jak niesłychane szanse wygranej ofiaruje im kasyno w Monte-Carlo. Może się tylko zdarzyć, że przy którymś stole gry jeden czy kilku graczy naprzemian, tak szybko wygrywają, iż krupierowi braknie pieniędzy. Ogłasza więc kilkuminutową przerwę i przynosi z głównej kasy nową gotówkę. Ta mała przerwa w grze wystarcza, aby wypadek wywołał wielką sensację. Stół gry jest oblężony. Kasyno ogarnia zdenerwowanie; po kilku godzinach świat cały obiegają depesze, głoszące, że bank kasyna w Monte-Carlo znów został rozbity.

O rzeczywistem rozbiciu i niewypłacalności banku niema mowy: kasyno w Monte-Carlo rozporządza olbrzymiemi funduszami rezerwowemi, a prawidła gry są tak ułożone, iż bankowi nie może się stać żadna krzywda. W ruletce najwyższą stawką i najwyższą wygraną jest 6.000 franków, w „Trente et Quarante" — 12.000 franków. Przy nieustannie prowadzonej grze, bank ponieść może miljardowe straty. Może grać jednak dłużej i systematyczniej, aniżeli najwytrwalszy z hazardujących się graczy, szanse więc wygranej, jakie sam sobie zakreślił, przechylają się na jego stronę. W ruletce bank ma trzydzieści sześć szans więcej, niż gracze; niezależnie od tego ciągnie zyski, kiedy kulka pada na „O". Podobnie rzecz się ma podczas gry— „Trente et Qurante". Sala bakarata przynosi jeszcze większe dochody. Tu bankier ściąga z każdej wygranej od pięciu do dwudziestu procent prowizji. Wygrane samego banku nie wydają się zbyt wielkie: lecz przez okres letni i zimowy, grając od dziesiątej rano do drugiej w nocy — nagromadzi dość pieniędzy. Świadczą o tem bilanse, jakie corocznie przedstawia „Towarzystwo Kasyna" swoim akcjonarjuszom.

Od czasu, kiedy po kilku nieudanych przedsięwzięciach, Franciszek Blanc, kierownik kasyna gry w Bad Homburg, przejął wiosną 1863 r. kasyno w Monte-Carlo, stało się ono jednem z najbardziej zyskownych przedsiębiorstw świata. „Société anonyme des Bains de Mer et du Cercle des Etranger de Monaco", jak brzmi pełna nazwa spółki, utrzymującej kasyno, uczyniło jej założyciela, Franciszka Blanca, byłego kelnera, w ciągu kilku lat wielokrotnym miljonerem. Po śmierci Blanca przedsiębiorstwo pozostaje w rękach jego rodziny; udział w niem biorą trzej synowie zmarłego oraz dwaj wielce arystokratyczni zięciowie: książę Radziwiłł i książę Roland Bonaparte. Jednak, gdy ex-cesarzowa Eugenja dowiedziała się, że dziedzic nazwiska Bonaparte jest współwłaścicielem jaskini gry w Monte-Carlo, książę Roland występuje z familijnego konsorcjum. Towarzystwo dla eksploatacji kasyna przeistacza się w spółkę akcyjną z kapitałem 30 miljonów franków. Część akcyj przechodzi w obce ręce, większość jednak pozostaje w ręku rodziny Blanc. Członkowie tej rodziny już w drugiem pokoleniu mają zbyt arystokratyczne wymagania i ustępują swe udziały. Wkońcu, jeden tylko z synów, Kamil Blanc, obejmuje kierownictwo kasyna. Za jego panowania, Monaco staje się światową atrakcją.

Rok rocznie Blanc zbiera miljony. Zarobki jego wystarczą, na wspaniałe utrzymanie całego Księstwa Monaco i pokrycie wielkich wymagań rodziny książęcej. Dwadzieścia tysięcy obywateli tego państewka nie ma potrzeby płacić ani grosza podatków. Pozwolić sobie mogą na luksusowy budżet, wynoszący rocznie pięć miljonów franków; zarząd kasyna jest prawnie zobowiązany ponosić koszta wszelkich publicznych urządzeń. Wydatki te, są jednak dla niego błahostką w pełnem tego słowa znaczeniu. Policja, samorządy, sądownictwo, nauczyciele i duchowni, wszyscy czerpią z obfitego źródła — z kasyna.

Książę Monaco zapewnił sobie jednak lwią część dochodów. Potem, kiedy Blancowie przemienili Monaco w złotodajne Eldorado, dom panujący znalazł sposobność podkreślenia swych udzielnych praw. Książę wyraził swój wstręt do jaskini gry, która wodzi na manowce jego uczciwy i dzielny naród. Wspaniałe się składa, gdyż w tym samym czasie, prezydent Francji wygłosił urzędową mowę, w której zarzucił niemoralność księstwu Monaco. Należy położyć kres temu nierządowi. Z chwilą, kiedy upłynie termin koncesji, rodzina Blanc zmuszona będzie opuścić kraj. Książęca dynastja Grimaldi'ch woli żyć ubogo i niepozornie tak, jak żyła niegdyś, aniżeli czerpać zyski z ruletki i bakarata.

Te cnotliwe decyzje księcia nie przestraszyły zbytnio Kamila Blanca. Zna dobrze ich wartość. Kasyno gry będzie istnieć nadal: moralność księcia nie jest tak niezłomna jak skały Monaco; wzrosną jedynie koszta jego utrzymania.

(Dokończenie nastąpi).

Czas już odnowić prenumeratę na rok 1930.

Wszystkie narody świata korzystają z dobrodziejstw wynalazku Marconiego

Marconi to twórca radja





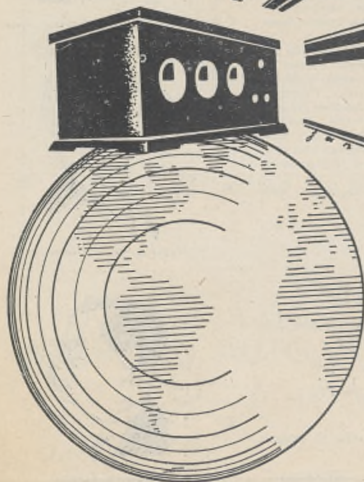
RADJOODBIORNIKI

MARCONI

przodują całemu światu







Zarząd i fabryka:
Warszawa, Narbutta 29

SKLEPY:

Warszawa, Marszałkowska 142,
Katowice, Dworcowa 16,
Łódź, Piotrkowska 84,
Lwów, Akademicka 14.

BRUNO WINAWER

Owdowiała ciotka i trzysta miljonów koni

Różne są formy bilansów handlowych — nikt mi nie może brać za złe, że wprowadzę jeszcze jeden typ, własny.

Otóż... Uwaga. Zaczynam. Przed laty w każdym zamożniejszym domu obywatelskim funkcjonowała na herbatkach tańcujących smutna, sucha, koścista, owdowiała ciotka. Młodzież musi się wyszumieć, wyhasać i dlatego wywlekano późnym wieczorem ubogą krewną i kazano jej godzinami bębnić na fortepianie do białego dnia. Walc z figurami, galopka, kontredans, polka, kontredans, biały mazur. I jeszcze galopka, i jeszcze walc błękitny.

Genjalny Edison wymyślił gramofon, kilku dzielnych techników zajęło się sprawą utrwalania dźwięków na płytach. Stworzyliśmy przyrządy elektryczne, które grzmią, frazują i dudnią, tryskają synkopami, akordami i rytmami murzyńskiemi, najświetniejsze orkiestry świata grają do tańca w każdym średnio-zamożnym domu na Nowolipkach, Browarnej, Marszałkowskiej czy Czerniakowskiej.

Inżynier nowoczesny odsunął dobrotliwie nieszczęśliwą babinę w czarnej sukni od pianina, zamienił ją na czarną płytę gramofonową, posłał starą ciotkę do łóżka. Niech sobie odpocznie kobiecina, poradzimy sobie jakoś sami...

Przed laty również w każdej liczniejszej rodzinie jedna przynajmniej panna na wydaniu smarowała płótno farbami olejnemi albo karton kredkami i pastelami. Należało to do dobrego tonu, do wykształcenia ogólnego. Całe stada pacykujących panienek biegały pod miastem w kitlach i fartuchach, napadały na krowy, konie, owieczki pod lasem, na pastuchów na łączce, starców przy drodze i na dziewuchy przy studni.

Stworzyliśmy grafikę, udoskonaliliśmy sposoby reprodukcji barwnej, trafiliśmy na nowe metody „powielania". Dziś autolitografje grają kolorami w witrynach sklepów, drzeworyty się wdzięczą, każdy za kilka dydków może nabyć Renoira, Skoczylasa, Stryjeńską na własność...

Technika — uśmiechając się łagodnie — odebrała paletę nieszczęśliwej zapaćkanej panience w kitlu. Niech sobie niebożę odpocznie, jakoś to tam będzie z tem malowaniem i z tą sztuką bez pomocy dyletantów...

Biedną zmordowaną szkapę-chudzinę zastąpił rączy koń parowy i bzykający wesoło motor Diesla. Starego buchaltera, któremu się w głowie mąci od cyfr nieskończenie długich, zluzowała maszynka z korbką. Dodaje, mnoży i, zgrzytnąwszy zlekka, wyrzuca rezultat pięćset razy na dzień bez zmęczenia.

Miejsce poczciwego pieska — wiernego stróża zajęła pewna komórka fotoelektryczna. Nie zasypia nigdy, zatrutą kiełbasą udobruchać jej nie można. Czuwa po nocach. Wszczyna rejwach, wprawia w ruch dzwonki, alarmuje i zawiadamia o niebezpieczeństwie prędzej i skuteczniej, niż wierny Burek i niezawodny Bryś.

Kopciuszek z bajki dlatego był taki zamorusany, że miał do czynienia z kuchnią dawnego, przestarzałego typu. Dziś nawet palacz na okręcie pracuje w czystej hali, wyłożonej majoliką, przekręca krany, obserwuje wskazówki na cyferblatach i przerzuca klucze na tablicach marmurowych. Motory statku, karmione płynną naftą i benzyną, nie smolą, nie kopcą. Domy mają ogrzewanie centralne i czarny kominiarz zniknie lada dzień z powierzchni ziemi.

Mamy mechanicznego zamiatacza ulic, automatycznego subjekta w sklepie, elektryczną panienkę z centrali telefonów.

Mamy maszynę do szycia, przyrząd do dojenia krów, do wbijania słupów. Mamy parowego oracza, odebraliśmy kosę spoconemu najmicie. Maszyny szyją buty, przędą, sieją, młócą, reperują pończochy, rozbijają skały.

Kto się chce przekonać, cośmy wskórali dzięki inwencji techników i inżynierów, niech obejrzy niektóre ilustracje w księgach historycznych, albo niektóre obrazy w kinach.

Tłumy nieszczęsnych niewolników, związanych powrozami, ciągną kolumnę albo obelisk po twardej drodze a gromady poganiaczy egipskich wielkiemi batami zachęcają opornych do pracy... Minęło! Przeszło, jak zły sen! Jeden skromny traktor albo porządny samochód ciężarowy, zwalnia całą bandę półnagich potępieńców. Idźcie do domu, dobrzy ludzie, nie fatygujcie się, zawieziemy obelisk na miejsce przeznaczenia. Co to dla nas znaczy! — furda!

Gromada jeńców, skutych łańcuchami, trudzi się we wnętrzu rzeźbionej galery. Dźwigają ciężkie wiosła, prężą muskuły, bo zły dozorca patrzy krzywem okiem i czeka tylko na okazję... Bywało tak, owszem, w owych zamierzchłych, pięknych czasach, o których nam powieściopisarze opowiadają ze łzą w oku.

Dziś nie uznajemy „motorów żywych". Silnik spalinowy zastąpił tysiące spracowanych ramion. Odpocznijcie panowie. Potrafimy pchnąć rzeźbioną galerę wpoprzek przez ocean Atlantycki, kpimy z fal wzburzonych, wiatrów niepomyślnych. W razie gwałtownej potrzeby przyprawimy jej skrzydła i propellery, sześć motorów dudnić pocznie i wyślemy starą landarę do krajów dalekich via błękit i trakt niebieski.

Sceptycy i stare zrzędy wciąż mają do nas jakieś pretensje. Odebraliśmy światu wszelki urok — powiadają — napełniliśmy miasta zgrzytem motorów, dymem fabryk...

Dobrze, dobrze. Wzamian zato raz do roku musimy owym nudziarzom przypomnieć niektóre pozycje. Mamy pewno *saldo*, jak mówią handlowcy.

Zwolniliśmy ciotkę i starą szkapę. Ułatwiliśmy robotę suchotniczej szwaczce. Zdjęliśmy łańcuchy z jeńców i katowanych niewolników. Ubraliśmy w czysty biały kitel czarnego kopciuszka z bajki.

Trzysta miljonów niezmordowanych koni parowych zaprzęgliśmy do straszliwej, ciężkiej, znojnej pracy!

Na dziś — wystarczy. Co będzie dalej — zobaczymy.

Z teki Jotesa

(Na marginesie zjazdu Sybiraków).



Antoni Anusz, Prezes Związku Sybiraków.



Wice-prezes Związku, Suchenek.



Dyr. dept. Świętkowski, przewod. Zjazdu.



W. Wojewoda Gintowt Dziewałtowski.



Prokurator Kawczak

KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

Podajemy dla orjentacji Czytelników, iż w wyniku głosowania, największą ilość kuponów nadesłano na następujące dzieci:

Nr. 194 — 1485	Nr. 10 — 274	Nr. 120 — 162
„ 233 — 1284	„ 208 — 232	„ 19 — 125
„ 211 — 942	„ 172 — 197	

Przypominamy jednocześnie, iż głosowanie zostanie zamknięte w dniu 15 stycznia 1930 roku.

REDAKCJA



Cukiernia Ziemiańska, zdała chlubny egzamin swej popularności. Oto reżyser H. Szaro „uchwycił" jednego z tubylców podzwrotnikowych, w chwili, gdy objada się znakomitemi

WIGILJA NA STANOWISKU

Dokończenie ze str. 2-ej)

odrobinki. Dyżurny Antczak jest palaczem, ale mógłby być filozofem, bo lubi sobie pogawędzić tak sam ze sobą. I pomyśleć sobie tak, o wszystkiem i o niczem.

Dyżurny palacz Antczak jest zły, ale któżby nie był zły, gdyby mu kazano w wilję od trzeciej po południu stać przed paleniskiem i wrzucać doń ciężkie szufle węgla.

Więc Antczak myśli, że zamiast siedzieć umytym i ogolonym przy czysto nakrytym stole, wygląda jak djabeł i ciężko pracuje. Żar bije w jego zasmarowaną węglem twarz. Muskuły czarnych rąk naprężają się przy każdym rzucie jak struny.

— W takie czarne pazury nawet niemożnaby wziąć opłatka — myśli.

— Poco tu siedzieć: ciśnienie trzyma się jak struna, ani się teraz nie myją, ani nie kąpią, ani nikt nie szoruje, to manometr trzyma się jak mur. Ulic też nie polewają i wogóle nic widać na wodowskazie, że zapotrzebowanie w tej chwili jest takie, jak żadne. Możnaby właściwie iść do domu i wrócić za jakie półtorej godzinki i teżby pewno nic nie ubyło. Wzwykły dzień to co innego, a w sobotę, to poprostu nadążyć nie można, tak juchy szorują i myją. Ale co mieli poszorować, to poszorowali przed świętami, teraz szabas i fajerant!

Zerknął na manometr i zauważył, że wskazówka precyzyjnego instrumentu opada. Na wodowskazie było jeszcze gorzej.

Podrzucił prędko cztery szufle i mruknął:

— Musi być gdzieś pożar i moc wody leją. A potem dodał z uznaniem dla samego siebie: — Dobrze, żem nie polazł.

St. B.

NAJŁATWIEJSZY DESER

Czytelnikom naszym polecić możemy znakomite galaretki owocowe wyrobu firmy: Feliks Pawłowski i S-ka. Stanowią one doskonały deser, wyróżniając się wśród tego rodzaju wyrobów, naturalnym smakiem owocu, wybitnemi wartościami odżywczemi i niesłychanie łatwym sposobem użycia.

Galaretki te przygotowuje się następująco: trzeba włożyć wyjętą z pudełka galaretkę do *półtorej* szklanki wrzącej wody, wymieszać, wlać do foremki i odstawić w chłodne miejsce dla stężenia.

Wzmiankowana firma wyrabia następujące gatunki galaretek: wiśniowe, malinowe, truskawkowe, poziomkowe, żurawinowe, cytrynowe, pomarańczowe i ananasowe.

Nadmieniamy, że galaretki owocowe firmy tej zostały odznaczone na Wystawie Propagandy Przemysłu Krajowego w Warszawie w 1929 roku.

TEATRY

Wielki: dn. 22-go b. m. „Bal Maskowy"; dn. 23 - 25 b. m. przedstawienie zawieszone; dn. 26 b. m. ppł. „Pan Twardowski", wieczorem „Halka"; dn. 27 b m. „Rigoletto"; dn. 28 b. m. „Ijola"; dn. 29 b. m. ppł. „Jaś i Małgosia" i „Wieszczka Lalek", wieczorem „Bal Maskowy"; dn. 30 b. m. przedstawienie zawieszone) dn. 30 b. m. „Straszny Dwór".

Narodowy: dn. 22 b. m. „Kres Wędrówki"; dn. 23 b. m. „Kres Wędrówki"; dn, 23 25 przedstawienia zawieszone; od dn, 26 b m, codziennie „Kres wędrówki".

Letni: dn 22 i 23 b. m. „Panna z Dyplomacji"; dn. 24 i 25 b. m. przedstawienia zawieszone; od dn 26 b. m, codziennie „Panna z Dyplomacji".

Nowy: dn. 22 b m „Anna Christie"; dn 23—25 b. m. przedstawienia zawieszone; od dn. 26 b m. codziennie „Adwokat i Róże".

Polski: dn. 22 i 23 b m „Rewizor"; dn. 24 b. m. przedstawienie zawieszone; dn. 25 b. m. „Rewizor"; dn. 26 b. m o godz. 4 pp „Pan Topas"; od dn, 26 b. m codziennie „Rewizor".

Mały: dn. 22 i 23b m „Czarujący Emeryt"; dn. 24 b. m przedstawienia zawieszone; dn. 25 b. m. o godz. 4 pp. „Olimpja", wieczorem „Czarujący Emeryt".

Morskie Oko: Codziennie rewja p. t. „Cała Warszawa".

Qui Pro Quo: Codziennie rewja p t. „Coś wisi w powietrzu".

KINA

Stylowy: „Kobiela z bruku".

Apollo: „Grzechy ojców".

Colosseum: „Księżna Tarakanowa".

Casino i Filharmonja: „Arka Noego".

Splendid: „Fox Follies".

Hollywood: „Bunt kawalerów".

Światowid: „Upadły anioł".

Akropolis: „Statek komedjantów".

Wodewil: „Pat i Patachon wśród ludożerców".

Palace: „Kobieta na księżycu".

Quo Vadis: „Kobieta bez serca".

Tęcza: „Szampańskie życie".



Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i nazwisko głosującego:

....

....

Adres: ....

....

....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

Kupon ważny w przeciągu dni 8 od ukazania się numeru niniejszego w sprzedaży

CZY WIECIE ŻE...

...chłopcy potrzebują więcej słońca niż dziewczynki dla zachowania zdrowia. Śmiertelność pozbawionych słońca niemowląt płci męskiej jest znacznie większa, niż śmiertelność niemowląt płci żeńskiej w tych samych warunkach.

...chirurg niemiecki dr. Hugo Nanke z Wrocławia odkrył nowy sposób leczenia chorób płucnych przez wprowadzanie do klatki piersiowej parafiny.

...miejski urząd zdrowia w Bordeaux projektuje wprowadzenie dla wszystkich mieszkańców „kart zdrowia". Karta taka ma zawierać wykaz wszystkich chorób, przebytych przez jej właściciela.

...przeciętnie spożywamy w Polsce cukru 12 kilogramów rocznie na głowę ludności, podczas gdy Francja zjada 21 kilogramów, Niemcy — 23 kilogramy, Czechosłowacja — 34, Szwajcarja — 38, Anglja — 40, a Danja — 47 kilogramów rocznie na mieszkańca.

...Harry Houck, radjotechnik amerykański, otrzymał z wyroku sądowego za wynalazek swój od związku przemysłowców radjowych 20 miljonów dolarów.

...ankieta, przeprowadzona między studentami agrykultury i politechniki w St. Zjednoczonych wykazała, że inżynierowie wolą blondynki, zaś przyszli rolnicy czują raczej sympatję dla brunetek.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

ENCYKLOPEDJA FILMOWA

K.

KOCHANKA



Osoba nikczemna. Odrywa cudzego męża od domowego ogniska, zarzuca mu długie ramiona na szyję. Udaje węża lub panterę.

Codzień przedstawia nieszczęśliwemu kochankowi rachunki od krawcowej.

Ledwo jeden kochanek wyjdzie z mieszkania natychmiast pojawia się drugi.

Rozgląda się długo po pokoju i odnajduje ślady pierwszego: fotografję, spinki, cylinder.

Kochanek numer drugi płacze i rozpacza, a nikczemna kochanka patrzy na to z absolutną obojętnością, pali papierosa, a wreszcie pobłażliwie gładzi zrozpaczonego po ramieniu, zakładając jednocześnie nogę na nogę.

Ten drobny ruch wywiera zawsze pożądane wrażenie. Kochanek wierzy wówczas wszystkiemu, wierzy, że spinki są pamiątką po dawno zmarłym narzeczonym, że cylinder został zagubiony przez dalekiego kuzyna a fotografja przedstawia przyjaciółkę w stroju męskim.

Uspokojony kochanek, nasyciwszy namiętność wychodzi tułać się po ulicy, a kochanka kładzie się w negliżu na skórze tygrysiej i w blasku ognia knuje nowy podstęp i zdradę.













(fot. Metro-Jaifilm)

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1 50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.